

Rozdział XI: Koniec, czy dopiero początek komunizmu?

Słowo wstępne

Odpowiedź na pytanie czy komunizm dobiegł już swojego historycznego końca, czy nauczony doświadczeniem „pierwszego podejścia”, zbiera siły do następnego ataku - jest w chwili obecnej niemożliwa. Słowa niniejsze piszę w połowie września 1998 r., w okresie wysoce niepewnej sytuacji społeczno-gospodarczej i politycznej niemal w całym świecie, w Rosji w pierwszym rządzie. „Nadziana” bronią masowej zagłady, Rosja może sprawić wiele przykrych niespodzianek, wywracających do góry nogami dotychczasowe pojęcia i wyobrażenia na temat współczesnego świata i jego najbliższej przyszłości. Żeby nie być gołosłownym, poniższy przykład może być tego ilustracją.

Otóż, 25 stycznia 1995 r., Norwegia, po uprzednim poinformowaniu Moskwy, która potem wyparła się tego, wystrzeliła rakietę meteorologiczną do górnych warstw atmosfery. Rakietą, wznosząc się, „nachyliła się” jednak w kierunku Rosji, podobno bez możliwości naruszenia jej przestrzeni powietrznej. Rosja, nie próbując nawet wyjaśnić „gorącą linią” o co chodzi, zarządziła ... alarm nuklearny! Na szczęście, rakietą spadła do morza koło Spitsbergen, ale, jak się potem okazało, brakowało tylko 5-ciu minut do odpalenia rosyjskich rakiet międzykontynentalnych w kierunku USA!

Na marginesie tego wydarzenia warto zauważyć, że w moskiewskiej prasie różni generałowie i inni fachowcy wojskowi piszą od czasu do czasu, że dla całkowitego zniszczenia USA potrzeba nie więcej niż 220-270 głowic nuklearnych, a dla „sparaliżowania” ich, wystarczy tylko 25 głowic 1-megatonowych (1 megatona ma siłę wybuchu 1 mln. ton trotylu). Rosja zaś, należy przypomnieć, ma co najmniej 7 tys. strategicznych głowic nuklearnych, a może nawet więcej, czego poza nią nikt nie wie. Przykre niespodzianki, niekoniecznie apokaliptycznej natury, mogą sprawić także niektóre wielkie kraje Azji, z Japonią, Indiami, Indonezją, Pakistanem i Chinami włącznie, z których trzy są mocarstwami nuklearnymi, podobnie jak Ameryki Południowej, z Brazylią i jeszcze raz Meksykiem na czele, po tym jak załamał się gospodarczo w końcu 1994 r., wiecznie kipiący Bliski Wschód i właściwie cała reszta świata, USA nie wyłączając.

Na pytanie dotyczące komunizmu nie można wreszcie odpowiedzieć bez sprecyzowania o jaki komunizm chodzi. O ten utopijny, „wy-

znaniowy”, „naukowy”, „realny”, populistyczny, czyli „ludowy komunizm”, gorbaczowowski „socjalizm demokratyczny” i „ideę socjalistyczną”, za którymi kryje się komunizm, czy ciągle jakoś dziwnie niezauważalny w świecie komunizm „kompleksu wojskowo-policyjnego”, „kompleksowy komunizm”, a wreszcie „mafijno-kryminalny”, nie mówiąc już o „pierwotnym”?

Komunizm, jak to już wspominałem w innym miejscu, rodził się „na raty”, miał różne oblicza i przybierał różne formy.

I tak najprawdopodobniej nadal będzie. „Na raty” komunizm będzie też ginął. Jedne jego formy ginąć będą na zawsze, podczas gdy drugie, podlegające ciągłym przemianom, mogą trwać bardzo długo, aż do „ostatecznego końca”, który czeka wszystkie cywilizacje, ustroje, religie, ideologie oraz idee. Nic nie jest wieczne i komunizm nie stanowi tutaj wyjątku.

Z tego też powodu, odpowiadając na postawione w tytule rozdziału pytanie - komunizm trzeba najpierw rozebrać na „czynniki pierwsze”, żeby nie uogólniać odpowiedzi, a maksymalnie ją konkretyzować.

Przyczyny, które złożyły się na narodziny wszystkich znanych odmian komunizmu istnieją nadal i stąd trudno o kategorię i jednoznaczną odpowiedź.

Przeszłość przyszłością?

Komunizm ma bogatą przeszłość, bogatszą od innych ideologii i ustrojów. Pomijając już „pierwotny komunizm”, ma on w swoim dorobku „wyznaniowe komunizmy”, czyli różne wspólnoty i sekty religijne w starożytnym judaizmie, wczesnym i średniowiecznym chrześcijaństwie, manicheizmie, islamie i buddyzmie, a wreszcie w „utopijnym komunizmie”, od Platona do Owena, nierzadko spokrewniony z „wyznaniowym”.

Komunizmy te, prakomunizmy i protokomunizmy, wydają się już być co prawda przeszłością, ale niektóre z nich, zwłaszcza te „wyznaniowe”, jeszcze całkowicie nie zniknęły, a miejscami jakby odżywały. Popularna do niedawna „teologia wyzwolenia” w kościele katolickim Ameryki Południowej, dopóki nie położył jej kresu Jan Paweł II, nie wiadomo na jak długo, miała wyraźnie prokomunistyczny profil. Podobnie jak różne chrześcijańskie i buddyjskie ruchy pacyfistyczne, czy „muzulmański socjalizm” libijski.

Tak więc, „wyznaniowe komunizmy” nie są już tylko historią. Niektóre z nich może jeszcze czeka renesans, wraz z ich bratem przyrod-

nim, „utopijnym komunizmem”. W rzeczywistości bowiem, to przecież nie kto inny tylko „naukowy” i „realny komunizm” **podcięły** ich korzenie. W sytuacji ich osłabienia jednak, lub zniknięcia, komunizmy te mogą **odżyć** i stać się o wiele popularniejsze niż w przeszłości. Zarówno bowiem „wyznaniowy” jak i „utopijny komunizm” charakteryzowały się **szlachetnością** idei, „wyższą moralnością” i solidarnością międzyludzką.

I szkoda, że Marks z Engelsem, twórcy „naukowego komunizmu”, już w Manifestie Komunistycznym odsądził od czci i wiary te naiwne co prawda komunizmy, ale w swojej treści wzniosłe, podczas gdy „realny komunizm”, przynajmniej na swoim terenie, dobijał je, ale czy zabił ostatecznie? Te zaś poza jego granicami, obawiając się posądzenia o sympatie dla obydwu, usunęły się w cień.

Możliwe jednak, że teraz odżyją. Szlachetne i wielkie idee nie giną tak łatwo. Starożytna demokracja ateńska, kiedyś uznana za utopię po nieudanym eksperymencie - odżyła po dwóch tysiącach, częściowo już w czasie Odrodzenia i Oświecenia, a już w całej pełni podczas Rewolucji Przemysłowej.

Ich możliwy renesans **nie musi** być oczywiście prostym przedłużeniem przeszłości, choćby ze względu na niebывały skok wiedzy ludzkiej i nagromadzenie cennych doświadczeń. Najprawdopodobniej jednak, „moralny aspekt” tego renesansu pozostanie **bez** większych zmian w stosunku do przeszłości.

Czy znów, podobnie jak dawniej, tego rodzaju komunizmy staną się pożywką dla „naukowych” i „realnych”, które wiele ich idei zapożyczają, ale w środkach i drogach osiągnięcia celu będą się różnić jak dotąd, to już zupełnie inny problem.

Po tym co „naukowy” i „realny komunizm” nabroili, renesans ich poprzedników jest **konieczny** dla wpuszczenia świeżego powietrza wszędzie tam, gdzie tamte zatrwały atmosferę swoim odorem ...

Może więc, choć oczywiście takiej pewności nie ma, zapomniana niekiedy przeszłość zostanie odkryta i stanie się, po zaadaptowaniu do zmienionych warunków, właśnie „lepszą przyszłością”, którą „naukowy” i „realny komunizm” zapowiadały, ale **nigdy** nie zrealizowały.

Kto wie czy nie lepiej byłoby, gdyby skończyło się na nieudanych eksperymentach „utopijnego komunisty” Roberta Owena niż na udanych „naukowych komunistów” Marksa i Lenina.

I kto zareczy w tej sytuacji, że kiedyś, może już wkrótce, właśnie owenowskie eksperymenty nie staną się naukowymi, podczas gdy Marksa-Lenina uznane zostaną za utopijne?

Bezperspektywistyczny „naukowy komunizm”

Najgorzej w ostatnich latach, czy raczej dziesięcioleciach, odwrotnie od swoich oczekowań, na biegu historii wyszedł „naukowy komunizm”. Po oddzieleniu się i bepardonowym rozprawieniu z „wyznaniowym” i utopijnym komunizmem, pomijając już na ile zasługiwał na nadane sobie miano, „naukowy komunizm” zabrał się ostro do budowy „realnego komunizmu”.

Gdyby Marks z Engelsem mieli więcej skromności, wiedzy, doświadczenia i poczucia rzeczywistości, a mniej arogancji, to **nigdy** nie zabrałoby się za tworzenie „naukowego komunizmu”.

Gwoli ścisłości, nie stworzyli go, ale ogłosili, że właśnie stworzyli, inni w to uwierzyli, a w rezultacie z „naukowego komunizmu” narodził się „realny komunizm” i wiadomo z jakim skutkiem.

„Naukowy komunizm”, w obliczu nie przewidzianych „naukowo” wyzwań oraz przeszkód, okazał się bezradny i w efekcie, kompromitując się, postawił swoją dalszą egzystencję, w obecnym wydaniu, pod znakiem zapytania.

Czy ten stan rzeczy oznacza jego definitywny koniec, czy może dopiero początek jego „drugiego wydania”, jeśli coś takiego jest w ogóle możliwe, pokaże dopiero czas.

W każdym razie, obecnemu wydaniu „naukowego komunizmu”, jeśli nie będzie nowego, grozi uwiąd i niechybna śmierć.

Kto jednakże mógłby podjąć się jakiegoś nowego wydania „naukowego komunizmu” i czy jest ono w ogóle możliwe?

Podjąć powinny się przede wszystkim partie komunistyczne w krajach ciągle jeszcze istniejącego „realnego komunizmu” w Azji, na Kubie i w Serbii, potencjalnie najbardziej chyba w tym zainteresowane.

Niestety, nic nie wiadomo o ich zamiarach na ten temat, gdyż zgodnie zachowują milczenie.

Tak jak nadal milczą istniejące partie komunistyczne poza krajami „realnego komunizmu”, w tzw. krajach postkomunistycznych, kapitalistycznych czy wreszcie Trzeciego Świata. Nie wstydzą się swoich nazw, a więc powinny, jeśli już tamte inne nie śpieszą się, podjąć decyzję co dalej robić z „naukowym komunizmem”. Uznawać go nadal za podstawę swojej ideologii, poddać rewizji, czy wreszcie odrzucić go raz i na zawsze.

KPRF, Komunistyczna Partia Rosyjskiej Federacji, największa spośród tych partii, otwarcie nie wyrzekła się co prawda marksizmu-leninizmu, a tym samym „naukowego komunizmu”, ale jednocze-

śnie nic nie wspomina o kierowaniu się jego wskazówkami, ani tym bardziej o żadnych przyszłych w nim zmianach.

A zatem, kto w tej sytuacji może podjąć się dzieła nowego wydania „naukowego komunizmu”, jeśli to dotychczasowe, broniące się przed zarzutem pseudo-nauki, skompromitowane wydarzeniami w krajach „realnego komunizmu”, zostało nagle osierocone?

Ewentualne przyszłe wydanie „naukowego komunizmu”, to zadanie nie lada. Jego autorzy musieliby przede wszystkim poddać głębokiej rewizji zasadność głoszonych dotąd „praw i prawd”, bardzo licznych ze względu na dotychczasową dowolność ich mnożenia.

Czy taka rewizja doprowadziłaby do jakiegoś nowego czy tylko poprawionego i uaktualnionego poprzedniego wydania „naukowego komunizmu” czy też skończyłaby się konkluzją, że **nie ma** nic takiego jak „naukowe ustroje” - nie wiadomo.

A tymczasem, w wersji aktualnej, „naukowy komunizm” **nie jest** żadną nauką, a co najwyżej tylko doktryną, ideologią, ogółem i systemem poglądów i twierdzeń, z określonej dziedziny wiedzy, a nie wszystkich naraz. Ponieważ jednak „naukowy komunizm” ma pretensję do „wszystkoizmu”, uniwersalnej wszechwiedzy, to tym bardziej zadanie jest trudne, gdyż musiałby sprostać rygorom stawianym nauce, a to jest **ponad** jego siły. Sam sobie zresztą winien. Roszcząc sobie prawo do nauki o „prawach rozwoju przyrody i społeczeństwa” na przykład, postawił się w **beznadziejnej** sytuacji. Nauka w swojej istocie nie jest bowiem „wszystkoizmem”, ale bardzo konkretną wiedzą w konkretnym przedmiocie, podczas gdy uogólnienia stąd płynące pozostawia filozofii do rozstrzygnięcia. Filozofia, „nauka nauk”, lub „nauka o nauce”, jest natomiast **zaprzeczeniem** konkretności, zajmując się, zgodnie z jej definicją, jedynie „ogólnymi rozważaniami” na różne tematy. Co więcej, „naukowy komunizm” założył z **góry** osiągnięcie wytyczonych celów, takich jak rewolucja socjalistyczna, dyktatura proletariatu, zbudowanie społeczeństwa socjalistycznego, a następnie komunistycznego. Zakładanie przez naukę z góry określonych hipotez, prowadzących do określonych wyników, jest co prawda dopuszczalne, ale nieprzydatne dla ideologii, gdyż wchodzi w sferę teorii prawdopodobieństwa, nie dającej przecież **żadnej** pewności sprawdzenia się założenia.

W konsekwencji więc, przekształcenie „naukowego komunizmu”, doktryny-ideologii, w prawdziwą naukę, jest zadaniem **niewykonalnym** na obecnym etapie wiedzy ludzkiej.

Z tego też powodu, prawdopodobnie, brak jest chętnych do podję-

cia się zadania, jeśli nie liczyć niektórych ośrodków naukowo-universyteckich w USA i Europie Zachodniej, gdzie poszczególni uczeni, nie całe ich zespoły, wykazują ostatnio zainteresowanie marksizmem-leninizmem, czyli „naukowym komunizmem”. Nie ma pewności czy zamierzają prześledzić go w naukowe badania, nie mówiąc już o pomyślnym finale takich zamierzeń.

Teoretycznie, największe szanse w tym kierunku powinny mieć Chiny, które mają względnie długie doświadczenie ze współczesnym komunizmem, szczególnie tym „realnym”, wysoki poziom wielu dyscyplin naukowych, jak wreszcie środki do podjęcia się takiego zadania. Ale, jak to już wspominałem, z jakichś względów tego nie czynią, a w każdym razie nic o tym nie wiadomo.

Zamiana doktryny na naukę, jeśli w ogóle możliwa, w przypadku „naukowego komunizmu” w szczególności, mogłaby mieć dla niego i w ogóle współczesnego komunizmu **negatywne** konsekwencje.

Spółczeństwo ludzkie bowiem, które jest częścią przyrody, rządzi się swoimi prawami, jeśli takie istnieją, tak jak przyroda swoimi, częściowo już odkrytymi. Niewątpliwie istnieje tutaj jakaś współzależność, ale ze względów polityczno-ideologicznych, sprawa w „naukowym komunizmie” **najważniejsza**, lepiej byłoby tego **nie ujawniać** ze względu na jej szokujący i pesymistyczny charakter.

Konkretnie mówiąc, I wydanie „naukowego komunizmu” mówi o bezklasowym społeczeństwie, komunistycznym, jako nie tylko ostatniej już formacji społecznej w historii, ale formacji „powszechnej szczęśliwości”, o **wiecznym** trwaniu.

Odnosnie „wieczności”, to nauka z góry ją **wyklucza** i tylko nie jest pewna czy ludzkość ma jeszcze przed sobą parę godzin czy parę miliardów lat egzystencji. O jakiejś zaś „powszechnej szczęśliwości”, czekającej ludzkość, nauka **nie wypowiada** się w ogóle i wątpliwe czy kiedykolwiek się wypowie.

Przeciwnie, uczeni twierdzą na przykład, nie mając pewności kiedy to nastąpi, że Układ Słoneczny, którego częścią jest Ziemia, nie sięgając już dalej we Wszechświat, ma **skończony** okres trwania. Jedną z teorii naukowych zakłada nawet, że Słońce, stanowiące 99,87 procent masy Układu, przed zakończeniem swojego żywota, prawdopodobnie za ok. 8 miliardów lat, zacznie się powiększać, „pożerając” kolejno krążące po jego orbicie planety (z dziewięciu Ziemia jest trzecią mu najbliższą). Przedtem jeszcze, zwiększona jego aktywność, wypali życie organiczne na Ziemi, „rozproszkując” i zamieniając ją następnie w gazy, które zostaną

wessane przez jego powiększającą się masę.

„Wieczna i szczęśliwa” egzystencja ludzkości, jak dotąd przynajmniej, nie znajduje naukowego potwierdzenia.

Nowe więc wydanie prawdziwie „naukowego komunizmu” **musiałoby zakładać** taką właśnie wizję przyszłości. Wizję w swojej istocie pesymistyczną i **bez** jakiegokolwiek nadziei na jej zmianę przez świadomą działalność człowieka, której pierwsze jego wydanie nadało wręcz mocy nadprzyrodzonej! Odstąpienie teraz od tego dogmatu i przerzucenie się na interwencję „siły wyższej” - jest sprawą religii, a **nie** nauki.

Nauki przyrodnicze zresztą, podobnie pesymistycznych wizji przyszłości mają znacznie więcej, jeśli nie „ostatecznych”, to w każdym razie nie wróżących **nic dobrego** dla egzystencji człowieka, może nawet już w niedalekiej przyszłości. Uczni nie wykluczają bowiem, że uderzające w Ziemię, z regularnością kilkudziesięciu milionów lat, duże ciała niebieskie, z których ostatnie zniszczyły dinozaury - tym razem mogą to samo uczynić z człowiekiem.

Uczni innych dyscyplin przyrodniczych przestrzegają z kolei, przed katastrofalnymi zmianami klimatycznymi, zawinionymi nie tylko przez człowieka, zanikiem ozonowej osłony na orbicie okołoziemskiej, w efekcie czego człowiek zginie, itd., itp.

Prognozom tym towarzyszy jeszcze cały szereg innych wizji, częściowo nawet popartych materiałem dowodowym, które są nie mniej pesymistyczne. Zanieczyszczenie powietrza, wody, erozja gleby, zanikanie lasów i dżungli, deficyt wody pitnej, jak też przyspieszone wyczerpywanie się niektórych nieodnawialnych bogactw naturalnych, to następny powód do patrzenia z troską w przyszłość.

Listę obecnych i przyszłych zagrożeń dla egzystencji człowieka, lub jakości jego bytu, należy uzupełnić jeszcze o broń masowej zagłady i nacisk demograficzny.

Broń masowej zagłady, praktycznie nieznaną do 1945 r., poza chemiczną, to **szczególnie** groźne wyzwanie dla ludzkości. Nigdy przecież dotąd człowiek **nie miał** możliwości zniszczenia całej ludzkości, a może nawet życia na ziemi.

Dziś, ma taką możliwość i jeśli nie dojdzie do całkowitego wyeliminowania broni masowej zagłady, to **na pewno** zostanie ona kiedyś użyta.

Kiedy, gdzie i na jaką skalę - nikt nie może przewidzieć. S a m a więc tylko perspektywa użycia broni masowej zagłady **wyklucza** rozsądne przewidywanie czegokolwiek na dziś i na jutro.

„Naukowy komunizm” zatem, w nowym wydaniu, gdyż w starym

wyzwania tego nie uwzględniał, musiałby nakreślić jakąś wizję jego rozwiązania. Idealnym rozwiązaniem byłaby „globalizacja” i integracja instytucji narodowych i międzynarodowych w takim stopniu, żeby **wykluczyć** antagonizmy w skali światowej i lokalnej, powód wojen i innych wystąpień zbrojnych.

Jak dotąd, nie zanoszą się na to, a przeciwnie - broń masowej zagłady, mimo różnych prób jej eliminacji i redukcji, **nieprzerwanie rozprzestrzenia się** w świecie.

Gdyby więc nie znaleziono wyjścia z tej niezwykle groźnej sytuacji - przyszłość ludzkości stoi pod znakiem zapytania, a w konsekwencji tego „naukowy komunizm”, pretendujący do budowy „lepszego jutra”, jest **bez sensu** w tych okolicznościach.

Problem nacisku demograficznego z kolei, aczkolwiek innego rodzaju, jest następnym wyzwaniem dla ludzkości, któremu obecne wydanie „naukowego komunizmu” **nigdy** nie udzieliło najmniejszej uwagi.

W czasach ukazania się Manifestu Komunistycznego ludzkość liczyła ok. 1,3 miliarda i choć już wtedy podnoszono „alarm demograficzny”, nie znalazł on w nim echa.

Obecnie jest to już niemożliwe. W 1900 r. ludzkość liczyła 1,6 mld., podczas gdy w 2000 r. osiągnie już 6 miliardów...

Jak potem potoczą się sprawy - demografowie nie są pewni. Niektóre prognozy przewidują 8 mld. w 2025 r. i 9-10 mld. w 2050 r., z możliwością dojścia w następnym 50-leciu do poziomu 12-16 mld., po czym przyrost naturalny spadłby do zera.

Czy tak dokładnie będzie, tego nikt nie wie, ale problem jest poważny.

A więc, tylko dwa powyższe wyzwania, a na nich przecież nie kończy się lista, stawiają przed ewentualnymi autorami nowego wydania „naukowego komunizmu” tak skomplikowane wyzwania, że mogą **uniemożliwić** całe przedsięwzięcie, bądź doprowadzić do wniosków diametralnie **odmiennych** w treści i formie od oczekiwanych i tych z pierwszego wydania.

Brak całkowitej eliminacji broni masowej zagłady na przykład, może oznaczać, że ludzkość będzie nadal podzielona na zantagonizowane państwa, co siłą rzeczy **wykluczy** budowę komunizmu, ustroju w tradycyjnym pojęciu bezklasowego, czyli bezpaństwowego. Tak jak pominięcie problemu demograficznego może przyszyły „naukowy komunizm” uczynić **bezprzedmiotowym** i to z bardzo prostego powodu.

W tradycyjnym, „naukowym komunizmie”, jednym z jego filarów

jest bowiem internacjonalizm, równość wszystkich ludzi pracy **bez względu** na rasę, narodowość i wyznanie.

W połowie XIX wieku, co więcej, kiedy ukazywał się Manifest Komunistyczny, jego autorzy pisali go dla odbiorcy zachodnioeuropejskiego głównie, krajów rozwiniętych gospodarczo, o pozostałych ledwie wspominając.

Dziś, odbiorcą jakiegoś nowego Manifestu, zwiastującego narodziny nowej czy zrewidowanej wersji „naukowego komunizmu”, musiałby być **każdy** członek społeczności ludzkiej, która w ponad 4/5 składa się z krajów gospodarczo słabo i średnio rozwiniętych, „kolorowych” w dodatku. Przy olbrzymiej i nadal powiększającej się „luce rozwojowej” pomiędzy tymi krajami, a krajami gospodarczo rozwiniętymi, zachodnimi, problem demograficzny ma jeszcze inny aspekt. Przyrost naturalny w grupie krajów niezamożnych prawie 5-krotnie przewyższa przyrost w tej drugiej i ma tendencję do dalszego zwiększania się. W efekcie, „margines nędzy w świecie” **rośnie** i dla zneutralizowania negatywnych skutków tego konieczna jest zwiększona pomoc ze strony krajów zamożnych, sprawa tam niepopularna. Co gorsza, globalizacja gospodarki światowej, powodująca, przynajmniej do niedawna, „eksport pracy” z krajów zamożnych do pozostałych, to następny powód do pogłębiania się tej niepopularności.

Inny problem, to rozwiązanie narastającego deficytu wody pitnej, jak i żywności w niezamożnych częściach świata.

Internacjonalizm zatem, jedna z sił nośnych i atrakcji komunizmu, bez względu na to co w praktyce oznaczał, w ewentualnym nowym jego wydaniu musiałby **zniknąć** najprawdopodobniej. Hasło „proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”, gdyby internacjonalizm pozostał, mogłoby w praktyce stać się hasłem „proletariusze wszystkich krajów dzielcie się!”... „Ubrane” jeszcze w jakieś szaty rasowo-narodowościowe, mogłoby tradycyjny „internacjonalistyczny komunizm”, nigdy zresztą w praktyce nie istniejący, zamienić w „narodowy komunizm”, miejscami o szowinistycznym profilu, w „socjal-faszyzm” czy wreszcie w „narodowy socjalizm”.

Jak dalece coś takiego jest możliwe niech świadczy fakt kontrowersyjnego, naukowego studium, autorstwa Richarda J. Herrnsteina i Charlesa Murray'a pt. „The Bell Curve”, opartego o statystyczną metodę badania stopnia inteligencji Amerykanów. Autorzy dowodzą, że amerykańscy murzyni wyraźnie ustępują inteligencją białym, a jeszcze bardziej azjatyckim Amerykanom.

A co będzie, jeśli biolodzy i genetycy potwierdzą tamte konklu-

zje? Wówczas „kontekst klasowy” może zostać zdegradowany przez „kontekst rasowo-narodowy”!

W takim przypadku, o żadnym „naukowym komunizmie” w uniwersalnym wydaniu **nie można** by mówić!

Na tym daleko nie koniec. Próba zamiany „naukowego komunizmu” na naukę stoi w obliczu jeszcze wielu innych wyzwań.

Komunizm na przykład, co „naukowy komunizm” stara się uzasadniać, uznaje własność prywatną za absolutnie godną potępienia i w efekcie postuluje jej likwidację.

Tak kategorię i jednoznaczne stanowiska **nie można** podeprzeć argumentem naukowym, chyba że z nauki robi się propagandę.

Nowe wydanie „naukowego komunizmu” wreszcie, musiałoby zająć stanowisko wobec takich haseł-frazesów jak „od każdego według zdolności - każdemu według potrzeb”, które, zapożyczone z utopijno-wyznaniowych komunizmów, stare wydanie powtarzało bezkrytycznie. Teraz hasła-frazesy musiałby być poddane szczególnie rygorystycznym kryteriom od strony ich zasadności i wykonalności.

Pomijając już problem dokładnego skwantyfikowania „zdolności” każdej jednostki ludzkiej, coś w praktyce nieosiągalne przy obecnym stanie wiedzy, jeszcze większym problemem byłoby „wymierzanie” tych potrzeb.

Gdzie bowiem jest granica pomiędzy „normalnymi potrzebami” na określonym etapie materialno-kulturalnej cywilizacji, a „ekstrawaganckimi potrzebami”? W USA na przykład, jeden z nowojorskich brokerów giełdowych, buduje dla własnych potrzeb dom mieszkalny z 29 sypialniami i 38 łazienkami, ponad dwukrotnie większy od Białego Domu, który służy przecież nie tylko do celów mieszkalnych prezydenta.

Czy są to „normalne” czy „ekstrawaganckie” potrzeby, a jeśli je rozgraniczać, to w **którym** dokładnie miejscu i **kto** ma to robić?

W związku z niekorzystnymi długookresowymi trendami rozwojowo-bytowymi człowieka, co gorsza, może być i tak, że tylko dla przetrwania będzie on musiał dawać **coraz więcej** z siebie, podczas gdy jego potrzeby będą musiały być **zmniejszane** do niezbędnego minimum.

Co w takiej sytuacji może znaczyć oferta komunizmu „każdemu według potrzeb”? Jakich potrzeb? Rosnących czy malejących?

I znowu pytanie - **kto i jak** ma je ustalać?

Na koniec, jeszcze jedna refleksja. Marks z Engelsem, twórcy „naukowego komunizmu”, stosunkowo młodzi, niezbyt wykształceni i życiowo doświadczeni, zabierając się do dzieła tylko we dwójkę, dość szybko się z nim uporali.

Obecnie jest **niemożliwe** powtórzenie tamtego doświadczenia, chociażby ze względu na ogromną ilość poszczególnych dyscyplin naukowych, nierzadko reprezentowanych przez więcej niż jednego przedstawiciela.

Olbrzymi zespół uczonych zatem, narodowościowo i kulturowo zróżnicowany, jeśli miałyby być zachowane pozory internacjonalizmu, byłby niezwykle ociężałym gremium i niezmiernie trudnym do kierowania, zwłaszcza w przypadku braku jasności co do celu ostatecznego, problemem więcej niż prawdopodobny.

Nie jest więc wykluczone, że zespół autorski tego nowego wydania „naukowego komunizmu” mógłby **nie dojść** do żadnych albo jednoznacznych konkluzji, albo byłyby one **niewykonalne** w praktyce, nie mówiąc już o tym, rzecz w nauce częsta, że zarówno zmieniane jak i odwoływane. Nie do wyobrażenia jest bowiem, żeby raz i na zawsze opracować jakąś **niezmienną** wizję budowy i funkcjonowania nowej formacji społecznej! Cywilizacja ludzka, licząca sobie tylko 8-10 tysięcy lat, przeszła już, albo próbowała przejść, przez 4-5 formacji społecznych. A przez ile ich może jeszcze przejść, gdyby przyszło jej trwać wielokrotnie dłużej?

Po co więc trudzić się nad jakimś nowym „naukowym komunizmem”, skoro jest to zadanie z góry niewykonalne, a nawet **nikomu** niepotrzebne? Kto bowiem będzie szukał w nim odpowiedzi na stawiane przez życie pytania na co dzień i co będzie, jeśli ich tam nie znajdzie?

W historii ludzkości jeszcze **nie było** żadnego „ustroju naukowe-go”, gdyż „realny komunizm” trudno takim nazwać. Nigdy go nie zbudowano, ani nikt przecież **nie zabierał** się nawet poważnie do takiej budowy, poza wyjątkowym i problematycznym 3-letnim okresem za Chruszczowa.

Ustrojów, zwłaszcza „wiecznych”, nie buduje się w oparciu o podręczniki naukowe, czy cokolwiek innego! Chyba, że ktoś chce **skompromitować** swoje pomysły i dzieło.

Różne komunizmy, utopijny, „wyznaniowy”, średniowieczny, czy „idee socjalistyczne” i im podobne, mogą sobie w ostateczności istnieć i zapewne będą istnieć, byle tylko **nie pretendowały** do miana nauki i nie narzucały siłą swoich pomysłów.

Nie oznacza to, niestety, że jacyś „poprawiacze świata”, „nawiedzeni”, nie będą tworzyć różnych pseudoteorii i pseudonauki, z jakąś nową wersją „naukowego komunizmu” włącznie, którymi będą, jak zawsze, omamiać ludzkość. Z pewnością też, znajdą swoich fanatycznych wyznawców, tak jak to już było z obecnym „naukowym komunizmem” i innymi doktrynami-ideologiami.

Można mieć tylko nadzieję, że kolejnego „naukowego komunizmu” już **nie będzie** i że nikt nawet nie zapyta dlaczego ...

Rozdroża „realnego komunizmu”.

Spośród wszystkich znanych dotąd komunizmów **najważniejszy** jest ten „realny”, komunizm u władzy. Nieważne czy władzę zdobył według recepty „naukowego komunizmu” czy w jakiś inny sposób, ale ważne, że ją zdobył, dziesiątkami lat dzierżył, albo jeszcze dzierży, jak choćby w Chinach i kilku innych krajach.

A co do tego jak „realny komunizm” powstaje, czyli zdobywa władzę, gdyż próba budowy przez niego społeczeństwa komunistycznego jest oddzielnym tematem, to sprawa była i jest problemem **Nr 1** we współczesnym komunizmie.

W Kolumbii na przykład, partyzantka komunistyczna, powiązana z „narkobiznesem”, ma szanse zdobycia władzy. A jeśli zdobędzie, to pewnością nikt nie będzie dochodził **na ile** było to zgodne z duchem i literą „naukowego komunizmu”. Są one na tyle niejasne i zmienne, że **każdy** „realny komunizm” znajdzie w tym „naukowym” swoją szufladkę.

W komunizmie współczesnym, mariażu „naukowego” z „realnym”, przede wszystkim liczy się **władza**.

„Realna władza” w rękach komunistów, to właśnie „**realny komunizm**”. „Naukowy komunizm”, ten w pierwszym wydaniu, nie rozwodzi się nad treścią i formą władzy, poza paroma dogmatami-pewnikami. Na początek, jako rzecz obowiązkową, postuluje „dyktaturę proletariatu”, warunkując ją jednakże istnieniem partii komunistycznej, która faktycznie sprawowałaby władzę w jego imieniu.

O ile z wzięciem władzy, drogą rewolucyjną oczywiście, sprawa w „naukowym komunizmie” jest względnie jasna, to już zupełnie jest niejasna w odniesieniu do jej charakteru i formy. W I fazie komunizmu, w socjalizmie, „dyktatura proletariatu” jest jeszcze jako tako z grubsza zarysowana. O wiele gorzej mają się natomiast sprawy w II fazie, w „pełnym komunizmie”, gdzie bliżej nie sprecyzowana „władza samorządowa”, w miejsce państwowej, nie „dogładana” przez partię komunistyczną, gdyż miało już jej nie być, funkcjonowałaby po wieki wieków.

Władza, szczególnie samorządowa, to problem wysoce złożony, ale „naukowy komunizm” temat ten pozostawił przyszłości do rozwiązania. Wraz z powstawaniem państw „realnego komunizmu” jednakże, zaczęły rodzić się „socjalistyczne teorie państwa i prawa”, ale daleko im

było do jedności poglądów, nie mówiąc o ich mętności i niespójności.

O wiele ważniejsza była natomiast praktyka. „Władza proletariatu”, czyli partii komunistycznej, musiała być przede wszystkim silna i to w bardzo dosłownym znaczeniu. Przed nią należało drzeć! Zabezpieczające ten wymóg prawo, musiało więc być odpowiednio surowe i konsekwentnie egzekwowane. Leninowskie powiedzenie, że źródłem prawa jest siła, z maoistowskim uzupełnieniem, że wyrasta ona z lufy karabina - najtrafniej oddawały istotę władzy w „realnym komunizmie”.

Współczesny komunizm, „naukowy”, „realny” i „kompleksowy” (wyjaśniam dalej ten termin), to „komunizm walki” w pierwszym rzędzie: klasowej, rewolucyjnej, politycznej, ideologicznej, z „przeżytkami burżuazyjnymi”, o produkcję i zbiory, z klęskami żywiołowymi, a nade wszystko zbrojnej, z wojną na czele, nieważne domową czy światową. Najważniejsze, żeby ją tylko wygrać!

Wszystkie wreszcie triumfy komunizmu były zawsze rezultatem walki, prowadzonej z podziwu godną zaciętością, bezpardonowej, starannie przemyślanej i bezkompromisowej.

Nie przypadkowo więc, czerwona gwiazda pięcioramienna, „marsowa gwiazda”, mitologicznego boga wojny Marsa, stała się godłem Armii Czerwonej.

W „realnym komunizmie” szeregowi komuniści byli zawsze „żołnierzami sprawy”, a aktywiści „oficerami” (w ZSRR byli również „czekistami”, ale tam policja polityczna była zmilitaryzowana).

Walka więc, liczyła się zawsze **najwięcej** we współczesnym komunizmie, nawet wtedy kiedy władza, jak w „realnym komunizmie”, była już zdobyta. Władzę zdobytą bowiem trzeba było bronić przed wrogiem, prawdziwym i wyimaginowanym, zewnętrznym i wewnętrznym, a właściwie nie tak bronić, jak **pierwszemu** uderzać! Stąd wieczna „czujność rewolucyjna” oraz „gotowość bojowa wojsk” dla paraliżowania i likwidowania w zarodku „kontrewolucji” czy „pokrzyżowania agresywnych zamiarów imperializmu”.

I oto raptem, Gorbaczow, nie odrzucając celów komunizmu, w ZSRR i jego „strefie wpływów”, zaczął mu usuwać „kły walki” i zamieniać go w „demokratyczny socjalizm” i „ideę socjalistyczną”.

Walka „na wszystkie azymuty”, stos pacierzowy „realnego komunizmu”, została zdegradowana do **politycznej** jedynie, głównie przy urnie wyborczej.

Jeśli to wszystko prawda, to „realny komunizm” w ZSRR i w krajach jego orbity, przeszedł już do historii.

O domniemanych przyczynach, gdyż rzeczywiste są niejasne, tego wydarzenia wspominałem już pobieżnie w innym rozdziale, ale wymagają one bliższej analizy.

Otóż, „realny komunizm” będzie tak długo istniał, jak długo będzie miał **wolę** oraz **środki** do walki.

Gorbaczow, swoją „pierestrojką” i innymi akcjami, odebrał wolę walki „realnemu komunizmowi” w ZSRR i w krajach satelickich (poza Kubą, co wymaga tak podkreślenia, jak i refleksji). Dokonał tego, co najważniejsze i najdziwniejsze, w pełni świadomie.

Analizując bliżej takie postępowanie Gorbaczowa, nasuwa się pytanie: odebrał wolę walki „realnemu komunizmowi” jako całości, czy tylko jego części?

Pytanie jest o zasadniczym znaczeniu. W przypadku bowiem selektywnego odbierania woli walki u jednych, a wzmocnienia jej u drugich, zwłaszcza odgrywających **decydującą** rolę w prowadzonej dotąd walce - można dojść do wysoce kłopotliwych wniosków.

Chodzi mianowicie o to, że środkami walki w ZSRR była głównie broń nuklearna, przekazana w spadku Rosji, która **nie śpieszy się** do jej głębokiej redukcji, czego wyrazem jest nie ratyfikowanie tzw. układu START II, podpisanego z USA w styczniu 1993 r. (w USA został ratyfikowany).

Co jest tego powodem? Stanowisko Moskwy w tej sprawie, mówiąc ogólnie, jest wysoce podejrzane. Zachowanie bowiem woli walki w miejscach strategicznie ważnych, w połączeniu z zachowaniem środków do walki, broni nuklearnej i innej broni masowej zagłady, poddaje w **wątpliwość** zniknięcie „realnego komunizmu” ze sceny dziejowej (nie mówiąc już o tym, że nie wszędzie zniknął). Czyżby wydarzenia lat 1989-1991 we „wspólnocie socjalistycznej”, które świat wziął za dobrą monetę, były gigantyczną i o złowieszczą wymowę „Operacją Demontaż”, częścią „strategicznego oszustwa”, obliczonego na dezorientację i uspienie czujności przeciwnika?

Przesada? Nie, a na poparcie niewiary niech posłuży fakt, że historia **nie zna** tak szybko ginących ustrojów czy wielkich państw, jak w przypadku sowieckiego supermocarstwa, w dodatku bez jakiegokolwiek nokautującego ciosu z zewnątrz lub od wewnątrz!

Jeśli sowiecki „realny komunizm” nie poddał się nikomu i nie został przez nikogo zniszczony, jednocześnie sam, z pasją masochisty obnosi się swoim upadkiem, to co to wszystko oznacza?

Odpowiedź spróbuję dać w dwóch kolejnych podrozdziałach.

„Kompleksowy komunizm”.

Pod określeniem „kompleksowy komunizm” rozumiem „kompleks wojskowo-policyjny”, sprawujący efektywnie władzę w krajach „realnego komunizmu” (określenia tego użyłem pierwszy, w artykule opublikowanym w europejskim wydaniu Wall Street Journal z 20 stycznia 1986 r.).

Zjawisko „kompleksu” wymaga krótkiego komentarza.

Współczesny komunizm, po tym jak narodził się „naukowy”, na progu narodzin drugiego swojego potomka, „realnego komunizmu”, stanął w obliczu splotu wyzwań, których nigdy nie przewidywał. Z jednej strony szczylił się posiadaniem, czego nie miał w historii żaden inny system, programu budowy nowego społeczeństwa, nakreślonego w zarysach przez „naukowy komunizm”, a z drugiej wykazywał kompletny brak poczucia rzeczywistości.

Konkretnym przykładem tego jest **najbardziej** widoczna w „naukowym komunizmie” rozbieżność pomiędzy teorią a praktyką na odcinku armii i policji w społeczeństwie socjalistycznym, a następnie komunistycznym.

„Naukowy komunizm”, do końcowych dni przed rozpoczęciem budowy „realnego komunizmu” w Rosji, problemu armii i policji nie traktował nawet marginesowo, gdyż instytucji tych, jako symbolu państwa, miało po prostu **nie być** w formacji komunistycznej.

Tymczasem, stał się to problem **najważniejszy** w „realnym komunizmie”, aż do ostatnich dni jego istnienia (tam, gdzie formalnie przestał istnieć).

Lenin, we wspomianej już w innym miejscu pracy, „Państwo a rewolucja”, zaliczanej do jednych z najważniejszych w dorobku „naukowego komunizmu”, która ukazała się na progu budowy „realnego komunizmu”, o roli w nim armii i policji wspominał tylko zdawkowo, wyobrażając sobie „uzbrojonych robotników” w miejscu pracy, w razie potrzeby spełniających rolę obronno-porządkową.

Tak uproszczone podejście do roli armii i policji w społeczeństwie, w perspektywie bezpieczeństwa, teoretycznie mogło być w zgodzie z wytycznymi „naukowego komunizmu”, ale w praktyce, szczególnie partii bolszewickiej, zostało naruszone jak w **żadnej** innej dziedzinie. Partia bolszewicka, o czym również wspominałem w innym miejscu, miała już wcześniej w swoich szeregach, z inicjatywy Lenina i pod jego kontrolą, załączki policji i armii, a zwłaszcza tajnych instytucji, które potocznie znane są pod nazwą „służb specjalnych”. Załączki te tuż przed bolszewickim

zamachem stanu zaczęły się szybko rozrastać i nabierać na znaczeniu, czego widowym dowodem było utworzenie Wojskowo-Rewolucyjnego Komitetu, z podkreśleniem jego wiodącej roli wojskowej, a następnie 5-osobowego Wojenno-Rewolucyjnego Ośrodka, do którego Lenin nie wchodził (wchodził natomiast Stalin i Dzierżyński), które zajęły się przygotowaniem i przeprowadzeniem powstania zbrojnego, co jak wiadomo gorzej lub lepiej wykonały.

Od pierwszych dni Rewolucji Marcowej działały już mniej lub więcej regularne oddziały Czerwonej Gwardii, których pomysł utworzenia sięga swoimi korzeniami do rewolucji 1905-1907 w Rosji. Bolszewicy oddziały te opanowali, jeszcze przed przewrotem, a następnie je rozbudowali. W tym samym czasie zaczęły też półjawną działalność organy tajnej policji politycznej pod kierownictwem Feliksa Dzierżyńskiego, zanim zostały oficjalnie powołane do życia już po zdobyciu władzy przez bolszewików.

Problem armii i policji w kraju takim jak Rosja, o bardzo długich i specyficznych tradycjach, był zarówno wysoce skomplikowany, jak i niezwykle ważny. Komunizm komunizmem, a Rosja Rosją!

Tradycje armii i policji politycznej, Rosja ma w świecie jedyne, najdłuższe i najbogatsze w doświadczenia.

Co się tyczy armii regularnej, z przymusowym poborem, praktyka długo nieznaną w świecie, jej początki w Rosji, wówczas jeszcze państwie moskiewskim, sięgają 1454 r. W okresie późniejszym, stały charakter armii z 25-letnim przymusowym poborem, zanim nie skrócono go do 5-letniego oraz z przymusową służbą oficerską ziemiaństwa, nie mówiąc o kozactwie w permanentnej praktycznie służbie wojskowej, rosyjskie siły zbrojne, najliczniejsze w świecie, okresowo najlepiej uzbrojone, zorganizowane i dowodzone, stały się jedną z podstawowych i najważniejszych instytucji państwowych. Niemal ciągle w akcji, najczęściej w podbojach, armia, poza nielicznymi wyjątkami zawsze zwycięska oraz nigdy nie zmuszona przez nikogo do kapitulacji, stała się swoistą wizytówką Rosji, którą przejęli bolszewicy.

Tradycje policji politycznej z kolei, początkowo półtajnej, były nie mniej bogate, sięgając czasów Iwana Groźnego i stworzonej przez niego Opriczniny w grudniu 1564 r., specyficznego systemu rządów absolutystycznych, który po jego rozwiązaniu w 1572 r., przetrwał w części policyjnej, w różnych formach i pod różnymi nazwami, aż do rewolucji w marcu 1917 r. Krwawe i perfidne tradycje działalności carskiej policji politycznej przejęli następnie bolszewicy, doprowadzając ją do zbrodni-

czej perfekcji.

W obliczu takich tradycji, bieżących potrzeb i zapewne po zorientowaniu się, że armia i policja polityczna są najpewniejszą ostoją bolszewickiej rewolucji, Lenin natychmiast „zapomniał” o tym co przepowiadał, zabierając się z energią do ich organizowania. Tworząc swój rząd, Radę Komisarzy Ludowych, Lenin, jako premier, jej przewodniczący, powołał do życia 12 resortów, albo ministerstw, zwanych „komisariatami ludowymi”, wśród których dwa były wojskowo-policyjne.

Pierwszym, jak to wówczas widniało w jego dekreście, był resort spraw wewnętrznych, „ludowy komisariat spraw wewnętrznych”, NKWD w rosyjskim skrócie, aczkolwiek do lipca 1934 r. była to instytucja drugorzędna, wobec powołanej do życia 20 grudnia 1917 r. Ogólnorosyjskiej Nadzwyczajnej Komisji do Walki z Kontrewolucją i Sabotażem, ponurej sławy Czeka, albo WCzK, z Dzierżyńskim na czele, która później przechodziła różne wcielenia.

Drugim resortem był „ludowy komisariat obrony”, na czele którego, jak w żadnym innym resorcie, stało 3-osobowe kierownictwo.

Bolszewickie siły zbrojne, Czerwona Gwardia, teraz już pod łącznym bolszewickim kierownictwem, liczyły w całym kraju ok. 200 tys. (wobec 6,3-milionowej armii przed listopadem 1917 r.). Z tego też powodu, władze bolszewickie postanowiły 28 stycznia 1918 r. utworzyć, drogą ochotniczego zaciągu, dokąd latem tego roku, faktycznie 1 czerwca, a formalnie 4-10 lipca, nie przekształciła się w przymusową, RKKA, Robotniczo-Chłopską Czerwoną Armię, w skrócie Czerwoną Armię. W dniu 11 lutego 1918 r. z kolei, podjęto decyzję o stworzeniu Robotniczo-Chłopskiej Floty Czerwonej. Po zwycięskiej niby bitwie Czerwonej Armii z Niemcami 23 lutego 1918 r. (okoliczności tego wydarzenia są wątpliwe), Czerwona Armia i Flota narodziły się ostatecznie jako jedna instytucja. W okresie marzec-maj 1918 r. odtworzono też szereg tradycyjnych organów dowodzenia siłami zbrojnymi, ze Sztabem Generalnym i jego wywiadem wojskowym, zwanym teraz GRU. Zaprzestano też praktyk wyboru dowódców, przechodząc na ich wyznaczanie przez organy nadrzędne, coraz więcej wprowadzając i umacniając zasadę jednoosobowego dowodzenia. Do RKKA zaczęto też masowo werbować carskich oficerów (było ich tam więcej niż u „białych”), powierzając im dowódcze stanowiska. Tym samym zaczęły odżywać stare rosyjskie tradycje wojskowe (w czasie wojny niemiecko-sowieckiej powrócono do tradycyjnych stopni wojskowych i naramienników, „pagonów”).

W organach policji było podobnie. Policja porządkowa, łącznie z

zandarmerią, zwaça się teraz milicją, w gestii resortu spraw wewnętrznych, została zmilitaryzowana, podobnie jak Czeka, która obok specjalnych oddziałów na wzór wojskowy, miała też w swojej gestii wojska ochrony pogranicza. Obie instytucje policyjne, podobnie jak armia, korzystały szeroko z fachowców z carskich czasów (Czeka zatrudniała początkowo licznych oficerów b. Ochrony).

Proces nieprzerwanego rozwoju i umacniania tych instytucji i ich zaplecza trwał do czasów Breżniewa, doprowadzając w końcu do narodzin „kompleksu wojskowo-policyjnego”, który w życiu ZSRR, jak i pozostałych krajów „realnego komunizmu”, zaczął odgrywać **dominującą** rolę, z czasem stawiając się ponad partią i państwem (tak jest też dzisiaj nadal w Rosji i b. republikach sowieckich).

Szczególne w społeczeństwie rola armii i policji, politycznej zwłaszcza, przypadała jeszcze na czasy rządów Lenina, po Marksie i Engelsie głównego luminarza „naukowego komunizmu”, który jakoś nie widział w tym zjawisku, o dziwo, nic heretyckiego! Przeciwnie, zdawał sobie sprawę, że robotnikami i chłopami zorganizowanymi w jakies samorządy, żadnej wojny domowej czy z obcą interwencją nie wygra ani nie utrzyma zdobytej władzy. Siła i terror, których reprezentantami były przede wszystkim armia i policja, już w początkowej fazie władzy bolszewickiej zaczęły odgrywać rolę wiodącą w osiaganiu celów, a nie jakies „naukowe” zakłęcia, które nijak nie pasowały do konkretnej sytuacji.

Rolę obu tych instytucji jeszcze bardziej doceniał Stalin. W programie industrializacji kraju nacisk położył na przemysł zbrojeniowy i militaryzację całego społeczeństwa, w stopniu nie mniejszym od ideologiczno-politycznego wychowania. Rolę tego wychowania w znacznej mierze zresztą, jeśli nie decydującej, przejęła **policja polityczna**, która, siejąc strach, „wychowywała” społeczeństwo.

Stalin zorientował się prawdopodobnie, że „kompleks”, który rozbudowywał, zaczął się stawiać ponad partią i ponad nim osobiście. Manewrując więc pomiędzy jego „wojskowym” i „policyjnym” skrzydłem, szcując jednych na drugich i przeprowadzając krwawe czystki, poddał go w końcu swojej absolutnej kontroli. Jego następcy, zrywając z tradycją krwawych czystek, kontrolę nad „kompleksem” stracili, stopniowo **oddając** mu władzę. Breżniew zresztą, uważał się za „człowieka kompleksu”, armijnego skrzydła, podczas gdy jego następcą, Andropow, był już jawnym przedstawicielem policyjnego skrzydła. Inaczej było z Czerńienko, ale on żadnej efektywnej władzy nie miał, jego zaś następcą, Gorbaczow, tylko w stopniu pułkownika, był całkowicie w rękach „kom-

pleksu”, wykonując skrupulatnie jego polecenia.

„Kompleks” zatem, w którym oba skrzydła, wojskowe i policyjne, znalazły wspólny język, reprezentując wobec „cywilów” jednolity front, stał się w ZSRR **główną** siłą i cechą „realnego komunizmu”.

Od strony ilościowej był on najbardziej liczny. Pod koniec istnienia ZSRR w czynnej służbie wojskowej, łącznie z niektórymi zmilitaryzowanymi instytucjami cywilnymi, było ok. 4,5 mln. oficerów i żołnierzy. Do tej ilości należy dodać ok. 60 mln. rezerwistów, którzy w każdej chwili byli zobowiązani stawić się pod broń.

Przemysł wojenny, bezpośrednio i pośrednio, dominował w produkcji przemysłowej kraju, stanowiąc ok. 70 procent jej udziału. Obrona, do której kierowano najlepsze kadry, dominowała w planowaniu, zarządzaniu i budżecie centralnym oraz w badaniach naukowych. Społeczno-gospodarczy rozwój kraju nastawiony był na obronę w pierwszym rzędzie. Pięcioletki, opracowywane przez Gosplan, według dyrektyw WPK, Wojenno-Przemysłowej Komisji, były układane zgodnie z „priorytetami obronnymi” Sztabu Generalnego. Każdy wznoszony zakład produkcyjny czy inny obiekt państwowy musiał brać pod uwagę te priorytety. Obrona korzystała również z pierwszeństwa w zaopatrzeniu materiałowo-surowcowym i paliwowo-energetycznym. SO, Sowiet Obrony (Rada Obrony), stała się **najważniejszym** organem w kraju, aczkolwiek utajnionym, a siły zbrojne, będąc zawsze największym powodem do dumy, otaczano niemal świętą czcią. Wygrały przecież „wojnę ojczyznianą” i awansowały kraj do miana superpotęgi wojskowej, na równi, a może większej od amerykańskiej, głównego mocarstwa kapitalizmu i imperializmu! Parady na Placu Czerwonym zwartych kolumn wojskowych uświetniały w pierwszym rządzie „święta ideologiczno-polityczne”, z rewolucją bolszewicką na czele, a nie jakaś „tołpa” cywilnej zbieraniny ...

Policyjne skrzydło „kompleksu”, aczkolwiek ustępujące sławą wojskowemu, na wewnątrz kraju liczyło się w niektórych dziedzinach jego życia może nawet jeszcze więcej.

Ilościowo było ono niezmiernie potężne. KGB, Komitet Bezpieczeństwa Państwowego, następca Czeki, miał ok. 500-600 tys. funkcjonariuszy, wliczając wojska pograniczne, a MWD, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, wraz z „wojskami wewnętrznymi”, ok. 1,5 mln. Rezerwiści obu tych resortów liczyli łącznie ok. 15 mln.

Co ważniejsze, oba te resorty, szczególnie KGB, miały **wielomilionową** sieć tajnych informatorów, etatowych i „dobrowolnych”, nie licząc „amatorskich” donosicieli. Jak liczne były zastępy tej „tajnej paje-

czyny”, dokładnie nie wiadomo, ale nieoficjalnie szacowano je na ok. 20 milionów, aczkolwiek prawdziwych „seksotów”, „siekrietnych sotrudnikow”, tajnych współpracowników, było zapewne znacznie mniej.

Nieważne zresztą ilu ich było, ale ważne, że skrzydło policyjne „kompleksu” wiedziało **wszystko** co działo się w kraju, podobnie jak w „bratnich krajach”, a wraz z wywiadem wojskowym, GRU, wiedziało co działo się w świecie.

I żeby tylko wiedziało! Zapewne, mimo że są to tylko dowody poszlakowe, zarówno w ZSRR jak i „bratnich krajach” **organizowało** różne „spontaniczne wystąpienia”, „dysydentów” i „opozycjonistów” wszelkiej maści, albo inne akty „antysocjalistyczne”, które w pewnym momencie ... jakoby położyły kres „realnemu komunizmowi” w tej części świata ...

Ale zanim do tego doszło, miejsce „kompleksu” w tej odmianie komunizmu współczesnego było tak **szczególnego** charakteru, że należy poświęcić mu jeszcze kilka słów komentarza.

Przede wszystkim, na uwagę zasługuje układ wzajemnych stosunków partia - „kompleks”.

Formalnie, wszystko było w porządku. Organizacje partyjne istniały w siłach zbrojnych i obu policjach, łącznie z tzw. wydziałami politycznymi, „politrukami”, w tych pierwszych zwłaszcza. Przedstawiciele tych organizacji wchodzili do ogólnokrajowych władz partyjnych oraz państwowych, a zatem nie było wrażenia istnienia dwóch równoległych partii. Nie było też najmniejszych powodów do przypuszczeń, że cele „cywilów” i „kompleksu” były odmienne, aczkolwiek ten ostatni był głównym beneficjentem systemu, wyciągając rękę po jeszcze więcej.

W rzeczywistości, było inaczej. „Kompleks”, choćby z tytułu ścisłego zhierarchizowania swojej organizacji wewnętrznej, a ponadto niezwykłego utajnienia swojej działalności, był „**niewdzięcznym**” polem do działania dla partii komunistycznej, aczkolwiek również zhierarchizowanej i dalekiej od pełnej jawności swojej działalności, ale w stopniu o wiele mniejszym. Mimo wszystko, partia, jej „cywilna” część, była bardziej demokratyczna i otwarta od jej „kompleksowej” części.

Z wyjątkiem instytucji centralnych, partia w cywilnej strukturze władzy, zwłaszcza jej etatowa część, była władzą Nr 1, a przynajmniej takie było wrażenie.

W „kompleksie” było inaczej. Był on, co prawda, upartyjniony w znacznie większym stopniu niż cywilna część społeczeństwa, ideologicznie i politycznie jego „partyjnicy” górowali nad pozostałymi w kraju,

mieli też większe przywileje od nich, ale partia była w „kompleksie” władzą Nr 2. Dowództwo i kierownictwo „kompleksu”, zatwierdzane przez KC, Sekretariat i BP partii, a w przypadku jego szefów wyłącznie przez BP, miało głos **decydujący** w tzw. polityce kadrowej na swoim terenie, z reguły nie pytając o zdanie swoich organizacji partyjnych. „Kompleks”, KGB w pierwszym rządzie, miał nieraz decydujący głos w obsadzie cywilnych stanowisk, a nierzadko nawet partyjnych.

Inną, prawie nieznaną działalnością „kompleksu”, było **penetrowanie** cywilnych organów władzy państwowej, a nawet partyjnej, do najwyższego szczebla włącznie.

„Kompleksowy partyjniak” **górował** nad cywilnym wyrobieniem ideologiczno-politycznym, zdyscyplinowaniem, „wyższą moralnością”, a nade wszystko gotowością do poświęceń w „obronie socjalistycznej ojczyzny”, przynajmniej takie było powszechne przekonanie.

Ten fakt właśnie miał swoje daleko idące konsekwencje. W efekcie bowiem były **dwie** równoległe partie, więcej jak „partia w partii”, prawdopodobnie jednakowo liczne, uwzględniając zarówno mundurową, jak i niemundurową część kompleksu i zajmowanie przez niego najbardziej kluczowych stanowisk w kraju.

Oddzielnego komentarza wymaga **wojskowa** część „kompleksu”.

Niebywały wzrost potęgi wojskowej ZSRR, polegający głównie na rozwoju broni masowej zagłady oraz nowych metodach prowadzenia wojny - niebotycznie **skomplikowały** rzemiosło wojenne. W przeszłości, car czy „gensek”, jak w przypadku Stalina, mogli być nie tylko nominalnymi, ale także faktycznym wodzami naczelnymi.

Obecnie stało się to niemożliwe. Czynniki zaskoczenia i błyskawiczne tempo prowadzenia działań wojennych, automatyczny system dowodzenia, satelitarne szpiegostwo i obserwacja pola walki oraz skomputeryzowanie wielu innych czynności - wymagają wysokiej wiedzy fachowej dowódców i oficerów sztabowych. W momencie awansowania ZSRR do miana superpotęgi wojskowej wymogi te uległy wielokrotnieni- niu. „Płatanie się” więc jakiegoś cywila, nawet formalnie wodza naczelnego, w gronie dowódców i sztabowców, stało się nie do pomyślenia.

Co więcej, początek działań wojennych **nie musi** być za jego wiedzą i zgodą. Niby formalnie od niego zależy decyzja rozpoczęcia działań wojennych, sięgnięcia do broni masowej zagłady zwłaszcza, ale **równorzędną** decyzję dano w ZSRR (i tak jest obecnie w Rosji) również ministrowi obrony i szefowi Sztabu Generalnego. Wywiad wojskowy z kolei, GRU, mający pod wyłączną kontrolą tzw. system wczesnego ostrzegania,

ma więc możliwość wszczęcia alarmu bojowego i to **bez** możliwości zwerifikowania przez kogokolwiek, czy nie oszukuje! Na żadną weryfikację nie byłoby ponadto czasu, gdyż liczą się sekundy i minuty. A ponadto **кто** i **czym** miałyby tego dokonać? Sama zresztą próba takiej kontroli mogłaby spotkać się ze strony GRU z zarzutem zdrady czy tchórzostwa cywilnego wodza naczelnego. A ponieważ w dyspozycji GRU w stolicy znajdują się silne jednostki „Specnaz”, to bardzo szybko taki wódz mógłby pożegnać się z życiem...

W rezultacie, cywilna kontrola nad armią **przestała** najprawdopodobniej istnieć w ZSRR, a dziś w Rosji, podczas gdy kontrola nad nią ze strony KGB, dziś FSB, może być co najwyżej formalna, nie mówiąc już o tym, że „kompleks”, działając solidarnie, żadnej kontroli z zewnątrz nie toleruje, zasłaniając się tajemnicami. Kontrola taka ponadto, niefachowa, byłaby długa w czasie i w końcu bezowocna.

Tego rodzaju sytuacja, stawiająca w efekcie „kompleks w ZSRR, zwłaszcza jego część wojskową, **ponad** partią i państwem (dziś w Rosji ponad państwem), mogła mieć jeszcze inny i bardziej złożony aspekt.

Cywilne kierownictwo „realnego komunizmu” w ZSRR, było z całą pewnością zainteresowane w **zwycięstwie** nad „imperializmem”. Zwycięstwo drogą polityczno-ideologiczną i gospodarczą, „pokojowym współzawodnictwem”, stało się jednakże **nieosiągalne** i z tego faktu najprawdopodobniej kierownictwo to zdawało sobie sprawę.

Pozostało więc zwycięstwo **wojskowe** i wiele wskazuje na to, że taką właśnie alternatywę kierownictwo sowieckie wybrało.

Wojna jednak, w dobie broni masowej zagłady i międzykontynentalnych wielogłowicowych rakiet, to przedsięwzięcie niezwykle ryzykowne i **nie gwarantujące** zwycięstwa, krok samobójczy, mimo jednoczesnego i całkowitego zniszczenia przeciwnika.

Wyjściem z tej patowej sytuacji było natomiast rozegranie konfliktu środkami **niewojskowymi** z jednoczesnym zachowaniem „**opcji wojskowej**” w razie konieczności.

Niewojskowe środki polegały na dokonaniu szeregu kroków, które **nie tylko** doprowadziłyby do eliminacji istniejącego napięcia międzynarodowego, głównie na linii ZSRR-USA, ale może nawet do partnerstwa między nimi. Warunkiem w obu przypadkach byłoby **uszanowanie** przez USA sowieckich interesów. W przypadku przeciwnym, jak to ujawnił wspomniany powyżej Wołkogonow, prawdopodobnie sięgnięto do środków wojskowych ...

Eliminacja istniejącego napięcia międzynarodowego miała dla

ZSRR wysoką cenę, ale była ona do „strawienia”, gdyż alternatywą mogła być wojna, bez porównania kosztowniejsza.

Drogi eliminacji napięcia były w ZSRR od dawna rozeznane. Wiedzano doskonale co i jak należy zmienić we „wspólnocie socjalistycznej”, albo tylko upozorować zmiany, żeby przekonać USA i Zachód o przyjaznych i partnerskich intencjach ZSRR.

Tego rodzaju zmiany, upozorowane jako autentycznie spontaniczne, zostały dokonane w latach 1989-1991, w efekcie których zniknęła „wspólnota socjalistyczna” z ZSRR włącznie, a przy okazji ich „realny komunizm”.

Kraje, które jeszcze do niedawna oświadczały, że będą bronić „zdobyczy socjalizmu” i swojej „nierozzerwalnej internacjonalistycznej jedności”, raptem zamieniły się w demokracje, gospodarkę wolnorynkową, podczas gdy swoją jedność, w postaci Układu Warszawskiego, RWPG oraz układów o wzajemnej pomocy - wyrzuciły do kosza.

Na wszelki wypadek jednak, Rosja, główny, a w dziedzinie strategicznej **jedyny** spadkobierca ZSRR, utrzymała monstualny arsenał broni masowej zagłady. Tylko jego nuklearna część, w ilości wspomnianych na początku rozdziału co najmniej 7 tys. tzw. głowic strategicznych, a może nawet większej, z następnymi tysiącami głowic taktycznych i innych ładunków nuklearnych, szacowanych na 20, 30-40 czy aż 70 tys., wliczając zapasy materiału rozszczepialnego, jest zdolna zniszczyć **cały** świat (ilość ta może zabić każdego mieszkańca globu ziemskiego przeciętnie aż 30 razy...).

Przed tym arsenałem **nie ma** jak dotąd żadnej skutecznej obrony i **nic** nie wskazuje na to, że będzie w najbliższej przyszłości. Jedyne co istnieje, to odwet, który **nie jest** rozwiązaniem. Jeśli agresorowi nie zależy na własnych stratach, to nie zawaha się przed uderzeniem, a zniszczenie go w odwecie jest słabą pociechą w sytuacji totalnego zniszczenia ofiary agresji.

Odwet zresztą, może w praktyce okazać się sprawą wcale nie taką prostą. W „nowej Rosji” mnożą się bowiem przykłady wewnętrznego rozprzężenia, z przykładami terytorialnej dezintegracji państwa oraz niesubordynacji sił zbrojnych włącznie. Na ile jest to prawdą, a na ile wmawia się to światu, jest niemożliwe do ustalenia, ale o możliwości wojny domowej, z sięgnięciem do broni nuklearnej, mówi się całkiem poważnie.

A gdyby upozorowano taką wojnę, czy akty niesubordynacji i buntu w siłach zbrojnych, w efekcie czego jakieś „zabłakane” wielogłowicowe rakiety ze śmiertelnie skutecznym ładunkiem nuklearnym poleciałyby w świat,

to co wtedy, jak i przeciw komu dokonać odwetu? Gen. Aleksander Liebiedź, zagadkowa postać i zawsze „na właściwym miejscu”, którego może nawet dlatego wybrano w 1998 r. gubernatorem Krasnojarskiego Kraju, o powierzchni 2,4 mln. kilometrów kwadratowych, zamieszkałego tylko przez ok. 4 mln. ludzi, zelektryzował świat nową sensacją. Oświadczył bowiem w liście z końca lipca 1998 r. do władz w Moskwie, że jeśli tak dalej będzie i władze nie będą płacić i dostarczać żywności Jednostce Uzur-4, wojskom raketowym na jego terenie, to on je ... przejmie pod swoje dowództwo! Rakiet na jego terenie jest 64, RS-20, znanych na Zachodzie pod kryptonimem SS-18, największych w świecie. Łącznie mają one co najmniej 640 głowic (każda rakiet SS-18 ma najmniej 10, a więcej 24 głowice. W przypadku 10-ciu głowic, moc wybuchowa każdej wynosi 1 megatonę, ponad 60-krotnie większa od bomby zrzuconej na Hiroszimę).

A jak pisze gen. Władimir Bielous, uczynienie z USA kraju niezdolnego do egzystencji - wymaga nie więcej jak tylko 25 nuklearnych głowic precyzyjnie uderzających w cel ... I co USA mogłyby zrobić w sytuacji, kiedy prezydent Rosji zawiadomi „gorącą linią” prezydenta USA, że jakiś obszar kraju, z nuklearną bronią, zbuntował się, z którym on nie może sobie poradzić, ale za jego postępowanie nie ponosi odpowiedzialności? Kogo wówczas USA spopiela w odwecie, jakiś Krasnojarski Kraj, czy cała Rosję? A co by było, jak to podobno stało się na początku września 1998 r. w Murmańsku, gdzie doszło do nieudanej próby opanowania nuklearnej łodzi podwodnej? Łódź nie była, co prawda, wyposażona w rakiety międzykontynentalne, ale co stałoby się, gdyby była, próba udała się (zapewne wyreżyserowana), a załoga, przejmując „nuklearne kody”, oddała salwę w kierunku krajów członkowskich NATO? Gdyby salwę oddano z „Tajfuną” na przykład, najnowszego typu łodzi podwodnej, z 20 raketami międzykontynentalnymi na pokładzie, z których każda ma po 10 głowic i gdzie każdą z nich ma sile wybuchową 6-krotnie większą od bomby zrzuconej na Hiroszimę, to co wtedy? Teoretycznie, ludność krajów członkowskich NATO mogłaby w takim przypadku stanąć na krawędzi niezdolności do dalszej egzystencji (niezależnie od zniszczeń bezpośrednich, efekty pośrednie, w postaci zrujnowanych tysięcy zakładów toksycznych i elektrowni nuklearnych byłyby również zabójcze).

I przeciwko komu należałoby wtedy dokonywać odwetu?

Albo przeciwko komu, jeśli gdzieś w świecie zaczną wybuchać dziesiątki „nuklearnych walizek”, których tajemnicze zniknięcie w nieokreślonej ilości z rosyjskiego arsenału ujawnił na początku września 1997

r. Liebież, osoba chyba dobrze poinformowana, będąca w okresie czerwiec-październik 1996 r. Sekretarzem Rady Bezpieczeństwa przy prezydencie kraju? Wybuch takiej „walizki” w Nowym Jorku czy Oklahomie, zamiast ładunku konwencjonalnego, który pociągnął za sobą niecałe 200 ofiar, spowodowałby śmierć setek tysięcy, jeśli nie paru milionów ludzi! Liebież mógłby wtedy rozłożyć bezradnie ręce ze słowami: „da, ja i przedupieźda!” Kogo wtedy karać w odwecie? Lub kogo, jeśli w Niemczech zaczęła „przypadkowo” wybuchać ładunki nuklearne, biologiczne i chemiczne, które wraz z konwencjonalnymi, w ilości ok. 81 tys. ton, opuszczając ich terytorium, armia rosyjska rzekomo zgubiła? Albo, scenariusz bodajże najgorszy, kogo karać w odwecie za atak bronią biologiczną, której arsenał w Rosji jest podobno nie mniej groźny od nuklearnego? Ataku takiego można przecież nie wykryć natychmiast, ani tym bardziej ujawnić jego sprawcę!

Dlatego też, dopóki „postsowiecki”, a obecnie rosyjski, arsenał nie jest zniszczony, albo poddany skutecznej kontroli międzynarodowej, rzecz raczej wątpliwa, to bicie w dzwony z okazji zniknięcia „realnego komunizmu” na obszarze b. ZSRR i b. „wspólnoty socjalistycznej” jest **przedwczesne** w najlepszym przypadku. W najgorszym zaś niebezpiecznym złudzeniem o trudnych do przewidzenia konsekwencjach. W rzeczywistości bowiem „realny komunizm” został **zastąpiony** „komunizmem kompleksu wojskowo-policyjnego”, nową odmianą „komunizmu wojennego”, działającego w sposób wysoce zakonspirowany i gotowy do akcji w każdej chwili.

Zakonspirowana egzystencja „komunizmu kompleksu wojskowo-policyjnego”, jak wszystkie inne supertajne operacje wojskowo-policyjne, jest o tyle możliwa, że **nie musi** obejmować jego całości. Siły strategiczne Rosji wynoszą ok. 100 tys. żołnierzy i oficerów, a ponadto większość z nich może do ostatniej chwili nie wiedzieć o decyzji pierwszego uderzenia. Uderzenie takie, przynajmniej oficjalnie zaprzeczane w sowieckiej doktrynie wojennej, w rosyjskiej z 2 listopada 1993 r. stało się jej **centralnym punktem!**

Czy takie uderzenie, formalnie rosyjskie, a w rzeczywistości „kompleksowego komunizmu”, jest jednak możliwe?

Odpowiedzią na to pytanie może być tylko stwierdzenie, że w dobie broni masowej zagłady i środków ich szybkiego przenoszenia w dowolny punkt globu, metody prowadzenia wojny **nie mogą** przypominać tych z przeszłości. Potencjalnego przeciwnika należy przekonać, że nic mu nie grozi i gdy w to uwierzy - wtedy na niego uderzyć!

Obecna Rosja, a faktycznie „kompleksowy komunizm”, czyni **wszystko** co możliwe, zgodnie z operacją „strategiczeskawo obmana”, żeby uspić czujność przeciwnika.

Operacja jest prowadzona niemal „kropka w kropkę” według założeń starożytnego chińskiego stratega Sun-Tzu, który 2,5 tys. lat temu formułował je jak następuje:

- „każda wojna oparta jest na oszustwie (po rosyjsku „obmanie”, stąd i „strategiczeskij obman”, „strategiczne oszustwo”; przyp. autora) ... Kiedy jesteś w stanie uderzyć - udawaj niemoc... Kiedy jesteś w pobliżu (wroga) udawaj, że jesteś bardzo daleko... Udawaj swoją niższość i zachęcaj przeciwnika do pewności siebie i arogancji ... Nie zostawiaj śladów za sobą i nie pozwól przeciwnikowi odgadnąć twoich zamiarów ... Tak postępując - jesteś panem jego losu ...”

Obecna sytuacja w Rosji do złudzenia przypomina zalecenia Sun-Tzu. Nędza jest tam autentyczna, podobnie jak ciągle pogarszanie się sytuacji gospodarczej kraju, ale postępujący jakoby przy tej okazji rozkład sił zbrojnych może być właśnie „**obmanem**” ze skarbicy Sun-Tzu!

Sowiecki „realny komunizm”, kosztem olbrzymich wysiłków i wyrzeczeń, zbudował gigantyczną siłę zbrojną, która miała chronić „zdobycze socjalizmu” w całej „wspólnocie socjalistycznej”, a nade wszystko strzec integralności terytorialnej ZSRR. Co więcej, o czym otwarcie już nie wspominało, siła ta miała ponieść „rewolucję socjalistyczną” dalej w świat, a przy okazji poszerzyć granice ZSRR, gdzie się tylko da ...

Stworzona przez ZSRR siła, dziś formalnie w rękach Rosji, a faktycznie „kompleksowego komunizmu”, jest jego **głównym** atutem do ewentualnej rozprawy z każdym przeciwnikiem, prawdziwym i wyimaginowanym. W dobie broni masowej zagłady „realny komunizm” nie mógł sobie pozwolić na czołowe z nim zderzenie. Z zaskoczenia też nie bardzo mógł, gdyż przeciwnik był czujny. Zwinął więc manatki, ustępując pola zakonspirowanemu „kompleksowemu komunizmowi”, w którego istnienie potencjalny przeciwnik nie wierzy! I właśnie bardzo dobrze! O to właśnie „kompleksowi” chodzi. Nie ma wątpliwości, że **nadal** czyni on przygotowania do niespodziewanego uderzenia na przeciwnika, kiedy już czujność jego ostatecznie uspi... Jeśli miałoby być inaczej, to dlaczego w Rosji trwa budowa schronów antynuklearnych?

Czy zdoła uspić i uderzy?

Co do uspienia czujności, to **potrafi** robić to doskonale. OGPU/

NKWD w okresie międzywojennym prowadziło „oszukiwacze operacje” „Trust” i „Syndykat”, które wyprowadziły w pole wszystkie liczące się wywiady świata, z polskim włącznie. Wmówiono im, że w ZSRR istnieje zorganizowana opozycja, a one, rzekomo przekonując się o tym na miejscu, uwierzyły!

W czasie wojny niemiecko-sowieckiej NKWD i NKGB, w operacji „Monastyr”, wywiody w pole hitlerowski wywiad i kontrwywiad, jedne z najlepszych w świecie. Wmówiono Niemcom, skrupulatnie sprawdzającym wszystko na miejscu w Moskwie, którzy dostawali się tam na różne sposoby, że w armii sowieckiej działa zakonspirowana opozycja! „Opozycja” przekazywała Niemcom „wykradzione” plany operacji na froncie, które częściowo sprawdzały się! Ale częściowo nie... Niemcy jednak wierzyli „informacjom” do końca wojny! Na ile ją przegrali z tego powodu - sami nie wiedzą do dnia dzisiejszego.

Warto o tym pamiętać.

Czy jednak uderzy?

No cóż, do stracenia ma niewiele. Stan posiadania, nawet jeśli jego rozpad został upozorowany, uległ erozji. „Wspólnota socjalistyczna” zniknęła i zniknęła też ZSRR, ponad 300 lat wysiłków Rosji i jego samego poszło na marne. Dezintegracja grozi też samej Rosji, nie mówiąc już o tym, że kraj gospodarczo nie ma prawie żadnych perspektyw. Produkcja „nowej Rosji” jest o połowę niższa od tej sowieckiej i ma perspektywę dalszego spadku. Ponad 3/4 ludzi żyje w nędzy, albo na krawędzi nędzy. Naród wymiera ...

A więc - „dołoj miru?”

Ostatnia kartę w rękę, siłę zbrojną, która z Rosji czyni jeszcze wielkie mocarstwo, „kompleks” ma w rękę i może nią zagrać...

„Realny komunizm” nie zbudował „społeczeństwa komunistycznego” zgodnie z wizją „naukowego komunizmu” i decyzjami XXII zjazdu KPZR.

Ale za to zbudował „kompleksowy komunizm”, system o wiele ważniejszy, którego „naukowy komunizm”, roszczący sobie prawo do przewidywania przyszłości, nie przewidział nawet w ułamku!

„Kompleksowy komunizm”, jeśli się w końcu ujawni, żadnego „społeczeństwa komunistycznego”, podobnie jak przed nim „realny”, też nie zbuduje. Jak ma to zresztą uczynić, skoro nawet nie przyznaje się do swojego istnienia?

A w ogóle, to nie po to istnieje, co innego ma na głowie. W „Operacji demokracja i gospodarka rynkowa” przekonał świat, że one naprawdę

istnieją! Udało mu się też utajnić swoje powstanie i istnienie. A teraz musi robić wszystko, żeby ostatecznie uśpić czujność przeciwnika!

I to jest jego, na obecnym etapie, główny cel, a nie przemienianie się z powrotem w „realny komunizm”, lub branie się za budowę społeczeństwa komunistycznego. „Realny komunizm”, daleki od szczerości, grał mimo wszystko w otwarte karty, głosząc na prawo i lewo do czego dąży.

Ale, jako jawny, samym swoim istnieniem „straszył” przeciwnika. W dobie zaś broni masowej zagłady nie tylko straszyć nie należy, ale jeszcze przekonywać, że powód do strachu już dawno minął!

Czy „kompleksowy komunizm” tak właśnie postępuje?

Oczywiście! A zaczął od wyjątkowo złowieszczej w treści, jednej z wielu operacji „strategiczeskawo obmana”, o wielu wątkach, którą warto przypomnieć.

Po pozbyciu się b. NRD, pozwolił bowiem władzom niemieckim „znaleźć” na jej terytorium niektóre super-tajne dokumenty, należące jakoby do sowieckiego marszałka Wiktora Kulikowa, b. dowódcy naczelnego wojsk Układu Warszawskiego (do którego, przypomnijmy, nie wchodziły wojska sowieckie!).

Z tych rzekomych dokumentów (na Zachodzie wzięto je za prawdziwe) miało wynikać, że Europa Zachodnia była o krok od nuklearno-konwencjonalnej napaści przez wojska Układu Warszawskiego.

W końcu, do tego jakoś nie tylko nie doszło, ale jeszcze zamiary „wydały się”!

O, proszę, co światu gotował „realny komunizm”. Teraz już co innego, demokracja, wolny rynek, Rosja ledwie na nogach stoi, a o istnieniu „kompleksowego komunizmu”, w mariażu z „rosyjską enigmą”, nikt przecież nawet nie mówi! A gdyby nawet mówił, to i tak by mu nie uwierzano ... Liczą się przecież realia, te widoczne gołym okiem. NRD już nie istnieje, tak jak i UW oraz ZSRR, a państwa powstałe na ich miejscu nie uderzą, nie są zdolne do tego. Pokój miłują, do NATO wstępują, albo z nim ściśle współpracują, armie ich, rosyjska najbardziej, rozlatują się, a więc czego się obawiać? Skoro w przeszłości nie zdobyto się na uderzenie, to dlaczego teraz właśnie mianoby się zdobyć?

Właśnie teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem!

A czy „kompleksowy komunizm”, mając taką możliwość, zechce tak właśnie postąpić?

Tego nikt nie wie. On sam może jeszcze nie zdecydował się co robić i miejmy nadzieję, że nigdy nie zdecyduje się na światową pozołę. Ale kto to wie.

Od tego zaś na co zdecyduje się - będzie można odpowiedzieć na pytanie postawione w tytule rozdziału „Komunizm - koniec czy dopiero początek?

„Rosyjska enigma”-cum-”kompleksowy komunizm”.

„Naukowy komunizm” narodził się w Zachodniej Europie, w kręgu zachodniej cywilizacji. Twórcami jego byli Niemcy, jeden żydowskiego pochodzenia i antysemita, Marks, drugi Prusak, Engels.

„Realny komunizm” z kolei, zjawisko bez porównania **ważniejsze** od tamtego, narodził się w Rosji, w kręgu „rosyjsko-sowieckiej cywilizacji”, nie uznawanej co prawda w świecie za odrębną, w tym również przez samych Rosjan, ale przecież autentycznej. Ni to zachodnia, ni wschodnia, ni chrześcijańska ni muzułmańska, ni już tradycyjnie rosyjska, ni komunistyczno-sowiecka, ni wreszcie demokratyczno-rynkowa, ale mieszanica wszystkich po trochu, „rosyjskiej duszy i człowieka radzieckiego”, realnie istniejących.

Twórcami tej cywilizacji byli Rosjanie, Iwan Groźny, Piotr Wielki i Mikołaj I, wymieniając tylko niektórych, Niemka Katarzyna II, „mieszaniec” Lenin, Rosjanin bez kropli rosyjskiej krwi w żyłach, Stalin, zrusyfikowany Gruzin, Żydzi jak Trocki, Zinowiew, Kamieniew i wielu innych, Polacy, a jakże, z Dzierżyńskim na czele, który z upapranej po łokcie krwią Czeki zrobił symbol „czystych rąk”, łotewscy strzelcy, rosyjscy chłopci-analfabeci i licho wie kto jeszcze. Przed Leninem tworzono „rosyjską cywilizację”, a od niego poczynając - „sowiecko-komunistyczną”, albo po prostu „bolszewicką”.

Obie te cywilizacje, ze słowiańsko-azjatycką tkanką łączną, stworzyły w końcu twór **wyjątkowy** w świecie, mariaż „rosyjskiej enigmy” z drugą enigmą, z „kompleksowym komunizmem”. Nie dziwi więc, że **nikt** nic z tego nie rozumie. Tym bardziej, że oficjalnego ślubu nie było, a panna młoda, „rosyjska enigma” i pan młody, „kompleksowy komunizm”, do swojego istnienia nawet się nie przyznają!

Zachód nie może się w tym wszystkim połapać, nie mogą Polacy, którzy zresztą nie liczą się, a i z samymi Rosjanami, w 4/5 Słowianami i w 1/5 Azjatami, komunistami, nacjonalistami, demokratami, liberałami, chrześcijanami, muzułmanami i Żydami - jest nie lepiej. Oni również nie wiedzą w **jakim** kraju żyją... Szczególnie w chwili, gdy piszę końcowe słowa niniejszego rozdziału, 12 września 1998 r. Właśnie wczoraj, Duma, po „szarpaninie” z prezydentem Borysem Jelcynem, który po nagłym zdy-

misjonowaniu 23 sierpnia premiera Sjergieja Kirijenki, po 4-miesięcznej tylko kadencji, jak też nieudanej renominacji Wiktora Czernomyrdina, b. premiera o 5-letniej kadencji, zatwierdziła wreszcie olbrzymią większością głosów Jewgienija Primakowa.

I oto „rosyjska enigma”-cum-”kompleksowy komunizm” znów sprawiły światu niespodziankę!

Na świecie myślą, że tak to Rosji „wyszło”, młoda to przecież demokracja, nie doświadczona ...

Ano właśnie, nikomu nie przychodzi do głowy, że w Rosji nic „nie wychodzi” samo przez się, przypadkowo! Ktoś i gdzieś, ukryty przed publicznym widokiem, nawet tym rosyjskim, nad wszystkim nieustannie **czuwa i wie** co robi. Trudno przecież uwierzyć, że w kraju „pękającym” od broni masowej zagłady, w którym ok. 1,5 miliona ludzi, najczęściej pod ziemią, trudzi się przy produkcji ładunków nuklearnych, panuje kompletne bezhołowie!

Ludzie „kompleksowego komunizmu” - czuwają więc, a „rosyjska enigma”, jak zawsze nieprzenikniona, ułatwia im to zadanie. Nie nad wszystkim czuwają, gdyż to jest niemożliwe, ale nad sprawami bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego, nie tylko Rosji, ale także tzw. bliskiej zagranicy, do której z pewnością należy i Polska, czuwają jak **nikt** inny w świecie!

Kim są „czuwający” i ilu ich jest? Tego **nikt** z całą pewnością nie wie, poza nimi samymi. Tych ze ścisłego grona kierowniczego jest zapewne niewielu, ale z całą pewnością należy do nich Primakow, który, pod koniec istnienia ZSRR, zaczął robić o tyle błyskawiczną, co zagadkową karierę. Z naukowym tytułem akademika, zastępcy członka Biura Politycznego, następnie członka Rady Prezydenckiej u Gorbaczowa, na oko więc „zawodowy cywil”, raptem objął nowe stanowisko, szefa PGU, czyli wywiadu KGB, jednego z najpotężniejszych w świecie. KGB, w związku z nowymi zadaniami „kompleksu”, było wtedy w trakcie swojego kolejnego wcielenia i Primakow był tam widocznie potrzebny. Już wkrótce bowiem PGU, podobnie jak KGB, zniknął. Powstała „nowa” i samodzielna instytucja, SWR, Służba Wywiadu Zewnętrznego, której dano „nowego” szefa - Primakowa! Gabinetu nawet nie zmienił, gdyż wszystko odbyło się w tym samym miejscu, w Jaszenowie pod Moskwą. Tyle tylko, że PGU nazwano teraz SWR. Trudno uwierzyć, oczywiście, że Primakow nie miał przedtem nic wspólnego z wywiadem KGB.

A propos, wkrótce potem, inny „cywil”, zawodowy dyplomata, Fiodor Ładygin, został szefem GRU, wywiadu wojskowego, w stopniu

generała-porucznika, zanim nie awansowano go do stopnia generała-pułkownika, odpowiednika polskiego generała broni.

Czy Ładygin, podobnie jak Primakow, był tylko cywilem przedtem?

Primakow, jako szef SWR, 25 listopada 1993 r., na specjalnie zwołanej konferencji prasowej w Moskwie, potępił w ostrych słowach zamiary „rozszerzania się” NATO na wschód, posuwając się nawet do nuklearnych pogroźek! Wystąpienie wywołało sensację. Tym większą, że w Moskwie dano natychmiast do zrozumienia, że armia popiera stanowisko Primakowa.

„Enigma-Kompleks” więc przemówiły, znamienym wojskowo-policyjnym dwugłosem, nie pozostawiając **żadnych** wątpliwości, że coś takiego istnieje i czujnie strzeże swoich interesów. Niejawnie pchały w tym czasie Polskę i inne kraje b. UW do NATO, chcąc zapewne sprawdzić jak się ono do tego ustosunkuje. NATO przyrzekało przecież, co prawda nie na papierze, że rozszerzać się na wschód nie będzie. Ostrzeżono go więc przed tym nieostrożnym krokiem, „kompleksową” drogą, nie dyplomatyczną i tym razem nie „enigmatycznie”, czy dwuznacznie. NATO jednak zlekceważyło sobie ostrzeżenie, postanawiając pójść na wschód. „Kompleks”, na razie przynajmniej, sięgnął do drogi dyplomatycznej, w sposób dość osobliwy. W styczniu 1996 r. bowiem, przesunął Primakowa na stanowisko ministra spraw zagranicznych, a kiedy NATO w grudniu tegoż roku uchwaliło ostatecznie swoje „rozszerzanie na wschód”, Primakow podniósł znowu alarm. Zaniepokojone NATO, poprzez swojego Sekretarza Generalnego, zaczęło więc natychmiast z nim rozmowy, a w marcu 1997 r., dla przełamania ich impasu, doszło do hel-sińskiego szczytu USA-Rosja. Jelcyn, powtarzając za Primakowem, powiedział Clintonowi, że NATO zrobiło „wielki błąd”, „największy po wojnie”, podejmując decyzję pójścia na wschód, nie wyjaśniając jednak dokładnie, co pod tymi enigmatycznymi słowami rozumiał. „Enigma-kompleks”, jeśli trzeba, wie jakich słów używać... NATO „aluzję”, na szczęście, gdyż z supermocarstwem wojskowym żartów nie ma, w lot pojęło. W rezultacie, zgodnie z propozycją francuską, w ramach podpisanej Karty Paryskiej, utworzono 27 maja 1997 r. specjalną Radę NATO-Rosja. Rosja ma odtąd w NATO głos, ale nie decyzję, a co będzie dalej - zobaczymy. Jak na razie, sprawy idą w Radzie jak po przysłowiowej grudzie. Rosyjscy oficerowie w belgijskiej kwaterze głównej NATO, podejrzewani o koneksje z GRU, zachowują się jak za dawnych sowieckich czasów, uważając drugą stronę za swojego wroga.

Innym krokiem „enigmy-kompleksu”, kolejną „aluzją” pod adresem NATO, było mianowanie tuż przed wspomnianym porozumieniem paryskim gen. Igora Sjergiejewa ministrem obrony. Sjergiejew, od listopada 1997 r. Marszałek, pierwsza tego rodzaju nominacja w „nowej Rosji”, nie przypadkowo objął swoją funkcję. Od 1985 r. był w RWSN, w „raketowych wojskach strategicznego przeznaczenia”, tłumacząc skrót na polski, a od 1992 r. ich dowódcą w Rosji. Teraz, z „guzikiem nuklearnym” pod ręką, już jako minister obrony, to poważne **ostrzeżenie** pod adresem NATO. Łącznie z Primakowem, nowym premierem oraz Jurijem Masljukowem, nowym wicepremierem i „carem ekonomicznym”, b. szefem Gosplanu i WPK, głównym specjalistą od zbrojeń w ZSRR, „enigma-kompleks” jakby nieco ujawniły swoje istnienie, ale prawie natychmiast zaczęły uspakajać świat, że nie ma się czego bać ... Primakow zapewnił, że nie przerwie zabawy w „demokrację”, „wolny rynek” i „partnerstwo” z Zachodem, z USA w pierwszym rządzie, a czy tak będzie - pokażą najbliższe tygodnie i miesiące.

„Enigma-kompleks”, sprawa dla Polaków najważniejsza, najbardziej **nieprzenikniona** jest na odcinku „rosyjskiej strefy historycznego zainteresowania”, do której, jak to ogłoszono w Moskwie 23 kwietnia 1993 r., po posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Rosyjskiej Federacji, zaliczana jest także Polska.

Na posiedzeniu zdecydowano **utrzymać** „strefę”, a tymczasem wygląda na to, że Polska jakby z niej umykała!

Ciekawe, jak daleko umknie ... „Enigma-kompleks” milczy, a przeniknąć jej myśli nie sposób. Tylko po jej niektórych ruchach można odczytać jej intencje, ale mało kto je śledzi. Nikt nie może zrozumieć, dla czego, jeśli już „enigma-kompleks” ma jakieś wrogie zamiary, rozmontowała w niedalekiej przeszłości coś, co gorzej lub lepiej istniało i funkcjonowało? I po co teraz z kolei, skoro już „obman” przynosi efekty, porywać się na coś, jeśli nie miałyby to być uderzenie zniemacka?

Istotnie, pytania logiczne, na które nie można łatwo odpowiedzieć. Nie jest przecież wykluczone, że w Moskwie po prostu uznano, że **pomyłono** się w swoich dawniejszych kalkulacjach, rzecz w końcu ludzka i lepiej się z niej wycofać i rozpocząć inną. Gra idzie bowiem o wielką stawkę, o „być lub nie być”, że sprawa jest godna zastanowienia, w efekcie czego zmiana dotychczasowej linii postępowania może być konieczna. USA, gdyż one liczą się tutaj najczęściej, w wydarzenia produkowane przez „obman” co prawda uwierzyły, ale **nie odpowiedziały** na nie w sposób oczekiwany. Na rozmontowanie Układu Warszawskiego nie tylko

nie odpowiedziały rozmontowaniem NATO, ale jeszcze rozszerzają go na wschód. Wraz z innymi krajami NATO opuściły gardę, ale **nie** na tyle, żeby bez śmiertelnego ryzyka uderzyć je znienacka i znokautować jednym ciosem. Nawet Unia Europejska, w której rozsądzenie od wewnątrz przez zjednoczone Niemcy zapewne w Moskwie wierzone, jak na razie trzyma się, a nawet, podobnie jak NATO, rozszerza się na wschód. USA wreszcie, umacniają swoją pozycję „jedynego supermocarstwa w świecie”, kwitując w dodatku gospodarczo. Nie jest więc wykluczone, że w Moskwie zdecydowano, że niedostatecznie dojrzałe warunki dla pomyślnego uderzenia znienacka, wymagają kontynuowania konfrontacji **nie-wojskowymi** środkami jeszcze przez jakiś czas, zanim przyjdzie podjąć „ostateczną decyzję”.

Przy założeniu, że tak właśnie jest i że po raz wtóry postanowiono, już nie dla celów „obmana” szczerze grać „kartą pokojową”, to czy nie postawiono się **w gorszej** sytuacji niż było to przed znanymi wstrząsami z lat 1989-1991? I czy „obman” nie był jakąś tragiczną pomyłką?

Optycznie, tak na to istotnie wygląda. W praktyce jednakże, „gorbaczowska rewolucja”, na oko samobójcza, dała ... **pozytywne** efekty, nawet jeśli była szczerą, nie dyktowana wymogami „obmana”.

Po pierwsze, udowodniła ludziom w całym b. ZSRR, może poza wyjątkiem Estonii, że w „realnym komunizmie” żyło im się ogólnie **lepiej** niż za demokracji i wolnego rynku! Nie wszystkim oczywiście, ale 4/5, a ostatnio zapewne już 9/10, po zaburzeniach z rublem, żyło się niewątpliwie lepiej.

Po drugie, rozpad ZSRR i powstanie na jego miejscu nowych państw, pomijając już jak z tym jest naprawdę, jest **mniej** popularne niż się tego spodziewano. Jakieś więc nawet autentycznie dobrowolne odtworzenie sfederowanego czy skonfederowanego państwa, niekoniecznie w całości, stało się **możliwe**. Obecna Wspólnota Niepodległych Państw, zapewne tak przewidywano, jest niewydolna i długo nie przetrwa. Zresztą, odtworzenie czy stworzenie nowego wszechpaństwa, nie jest aż tak trudne. Wewnętrznych granic w b. ZSRR pomiędzy „nowymi państwami” faktycznie nie ma, zewnętrzne zaś, z przestrzenią powietrzną, są strzeżone, albo w inny sposób kontrolowane, przez Rosję. Współpraca wojskowa, w ramach Traktatu Taszkienckiego i dwustronna, jak i służb specjalnych, jest bardzo ściśła, a partie komunistyczne, pod różnymi nazwami co prawda, możliwe spoiwo nowego państwa, istnieją wszędzie. Skrzyknąć więc b. republiki nie jest tak trudno. Jedną z nich, Białoruś, od wiosny 1997 r., wykazuje nawet gotowość stać się faktycznie częścią Rosyjskiej Federa-

cji, z której, nie tak jak to było formalnie, a potem faktycznie z ZSRR, już **nie można** wystąpić.

Po trzecie wreszcie, „gorbaczowska rewolucja” **przerwała** wiele kłopotliwych dla partii komunistycznej więzów z przeszłością, oczyszczając ją z wielu zbrodni i innych zarzutów. Podobnie stało się z państwem sowieckim, nawet jego nazwą. Oczyszczono się nie tylko na wewnątrz, ale i na zewnątrz. Przyznano się mniej lub więcej otwarcie i w znacznym stopniu wyjaśniono, nie cofając jednak skutków, do agresji przeciwko Polsce we wrześniu 1939 r., do mordu katyńskiego i jemu podobnych, a także innych przestępstw z czasów sowieckich. W olbrzymim stopniu usunięto więc przeszkody, które przedtem dzieliły Polaków i Rosjan.

Partię komunistyczną, KPZR, podobnie jak nowopowstałą Rosyjską Partię Komunistyczną, najpierw zawieszono, potem zakazano ich działalności, nawet formalnie stawiając przed sądem za zbrodniczą działalność, z czego zresztą, jak było do przewidzenia, nic nie wyszło. W rezultacie tego, KPZR istnieje nadal w stanie szczątkowym.

Nie wchodząc w liczne szczegóły dotyczące powstawania pod koniec istnienia ZSRR różnych „demokratycznych platform” oraz niekomunistycznych, jak i „nowo-komunistycznych” partii politycznych, z inspiracji KPZR i w wykonaniu KGB, co przeciągnęło się na czasy postsowieckie, w przypadku Rosji na uwagę zasługuje KPRF, Komunistyczna Partia Rosyjskiej Federacji. Powstała w lutym 1993 r., oficjalnie rejestrując swoją działalność 24 marca tegoż roku, KPRF podała początkowo liczbę swoich członków na ok. 6 milionów. Potem zaczęła się „odchudzać”, podając ich ilość na 500-650 tysięcy. Zresztą, kto to wie. Mówi się bowiem, że partia ma liczne zastępy „sympatyków”, którzy w razie potrzeby wstąpią masowo i oficjalnie. W ogóle zaś, to KPRF ma **więcej** członków od wszystkich innych rosyjskich partii politycznych razem wziętych! Organizacyjnie, jak żadna inna partia, obejmuje wszystkie jednostki administracyjne kraju, a materialnie jest najbogatsza. Na jej czele stoi od początku 54-letni Giennadij Zjuganow, b. aktywista KPZR, jak i efemerycznej RKP.

KPRF, formalnie przynajmniej, odrzuca „internacjonalizm”, opowiadając się za „rosyjskimi interesami narodowymi”. O swoim stosunku do marksizmu-leninizmu, „naukowego komunizmu”, nie wspomina. Rewolucję bolszewicką uznaje za słuszną, ale krytykuje zbyt dużą w niej rolę „sjonistów i masonów”. Lenina jednak uznaje, podobnie jak Stalina, zwycięzcę w wojnie z Niemcami. Szczególną chwałą otacza natomiast marszałka Żukowa. Jest ogólnie za utrzymaniem „socjalistycznych zdo-

byczy”, choć bliżej nieokreślone reformy państwa i gospodarki popiera. Jest otwarcie antyzachodnia, odrzuca ateizm, a nawet otwiera swoje szeregi dla ... prawosławnych duchownych!

O popularności KPRF świadczą najlepiej wyniki wyborów parlamentarnych i prezydenckich.

Podczas drugich wyborów do Dumy i Rady Federacji (w tym ostatnim przypadku część jej członków pochodzi z nominacji) w grudniu 1995 r., KPRF odniosła duże zwycięstwo, wysuwając się na pierwsze miejsce, wobec czwartego dwa lata wcześniej. Uzyskując 22,3 procent głosów i 157 mandatów w 450-osobowej Dumie, stała się w niej **główną siłą** (jeszcze lepiej poszło jej w Radzie Federacji).

W czasie dwóch tur wyborów prezydenckich w czerwcu-lipcu 1996 r., Jelcyn, startując w nich ze stanowiska prezydenta, otrzymał tylko 34,8 proc. głosów, podczas gdy jego główny konkurent, Zjuganow, 32,1 procent odpowiednio. W II turze Jelcyn uzyskał już 53,8 proc. głosów, ale Zjuganow, niezbyt dobry mówca i charyzmatyczny działacz, 40,3 procent. Biorąc pod uwagę fakt, że obaj z Jelcynem mówili prawie to samo - popularność komunistów rosyjskich jest więc, mimo ich leninowsko-stalinowskich korzeni, o **wiele większa** od tej kiedykolwiek w przeszłości, kiedy jeszcze były wolne wybory (w listopadzie-grudniu 1917 r.).

KPRF zatem, podobnie jak partie komunistyczne w pozostałych b. republikach sowieckich, niektóre pod różnymi nazwami, to **nadal olbrzymia siła**, „dyżurna siła”, w każdej chwili zdolna do otwartego przechwycenia władzy, gdy tylko „kompleks” uzna to za stosowne. Partiom komunistycznym w b. ZSRR ponadto, selektywnie odcinającym się od swojej poprzedniczki, KPZR, w olbrzymim stopniu udało się przekonać ludzi, że mają **czyste ręce**, nie są zaplątane w mafijne układy i że bronią interesów swoich narodów. Jak dalece udało się KPRF przekonać do siebie Rosjan niech świadczy fakt, że nacjonaliści, nie tak jak w Polsce, idą faktycznie w jednym szeregu z komunistami, tworząc coś w rodzaju „narodowego komunizmu”, albo „narodowego bolszewizmu”.

Wiele też wskazuje na to, że KPRF może znaleźć wspólny język z pokrewnymi jej partiami komunistycznymi w całym b. ZSRR, w efekcie czego odtworzenie czy stworzenie przez nie już oficjalnego jakiegoś tworu państwowego, jeśli tylko zajdzie potrzeba, jest **więcej niż możliwe**.

Ale nawet gdyby do tego nie doszło, to wielkiego problemu nie ma. Sama Rosja, dopóki pozostanie supermocarstwem wojskowym, będzie wywierać olbrzymi wpływ w całym świecie. Jej stanowisko było decydujące w czasowym rozwiązaniu kryzysu w Bośni, tak jak zabloko-

wało użycie siły przez USA wobec Iraku na początku 1998 r. i ciągle blokuje akcje NATO w Kosowie.

Tradycyjna „rosyjska enigma” zatem, z piętnem „realnego komunizmu”, w mariażu z „kompleksowym komunizmem”, to jeden z **głównych dylematów i wyzwań stojących przed ludzkością**.

I on właśnie może jej sprawić wiele przykrych niespodzianek.

Ostatni bój

Konflikt komunizm-kapitalizm, totalitaryzm-demokracja, Wschód-Zachód, ZSRR-USA, czy rozpoczynający się „globalny konflikt”, gdzie każdy ma w perspektywie każdego za przeciwnika, jeśli nie w sensie wojskowym, to politycznym, gospodarczym, kulturowym, wyznaniowym czy jakimś innym, jest wyzwaniem **nie mieszczącym się wręcz w wyobraźnię ludzką**.

W 1945 r., kiedy powstawała Organizacja Narodów Zjednoczonych, nadzieja ludzkości, ilość jej członków wynosiła tylko 50, wliczając takie „państwa” jak sowieckie republiki Białorusi i Ukrainy. Pomysłodawca stworzenia ONZ, USA, były uszczęśliwione dopięciem celu.

Dziś, przy 186 członkach, USA mają dość ONZ, zalegając nawet ze swoimi składkami do jej budżetu. W głosowaniach na forum Zgromadzenia Ogólnego, ze względu na swój bezkrytyczny stosunek do Izraela, USA są często całkowicie izolowane.

A co będzie, rzecz całkiem prawdopodobna, kiedy ONZ rozrośnie się do 5-ciu tysięcy członków, gdyż tyle różnych grup etnicznych w świecie ma się ostatnio za narody? Skoro 125-tysięczna Mikronezja jest członkiem ONZ, państwem i narodem, to dlaczego 25 milionów Kurdów czy 8 milionów Palestyńczyków nie może nimi być?

Ludzkość, w rezultacie globalizacji gospodarki światowej, z jednej strony integruje się, a z drugiej, przy coraz większym jej zagęszczeniu, otacza się co raz wyższym murem podziałów rasowych, narodowych i narodowościowych, wyznaniowych, kulturowo-obyczajowych czy wreszcie materialnych.

Najbogatszy człowiek świata, Bill Gates, amerykański właściciel firmy Microsoft, ostatnio „wart” ok. 58 mld. dolarów, ma fortunę równą 100 mln. Amerykanów o niższych dochodach, podczas gdy 225 najbogatszych ludzi świata ma dochody równe dochodom 2,5 mld. ludzi, **prawie połowy** ludzkości! Dziecko urodzone w USA, Anglii lub Francji, w ciągu swojego życia zje, zużytkuje różne inne produkty, zanieczyści po-

wietrze i wodę w stopniu równym 50-ciu dzieciom w najbiedniejszych krajach świata ...

Luka rozwojowa pomiędzy krajami zamożnymi a najbiedniejszymi, każda po 1/6 ludzkości, już w przeszłości za duża, powiększyła się jeszcze w okresie 1965-1995 z 20:1 do 39:1! Kraje o średniej zamożności, do niedawna jeszcze uważane za pewnych kandydatów do „klubu zamożnych”, tzw. tygrysy dalekowschodnie, Południowa Korea, Malezja i Tajlandia w pierwszym rządzie, raptem, ku zdziwieniu ekspertów Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego, od II półrocza 1997 r., zaczęły się załamywać jeden po drugim. W Indonezji „marsz do tyłu” poszedł najdalej, wymiatając w ciągu roku postęp w dochodach przeciętnych uzyskany w ciągu poprzednich 25 lat!

W USA, na które przypada prawie 1/4 produkcji światowej, dysproporcje w dochodach zamiast maleć - wzrastają. Różnice między średnimi płacami, które w ciągu ostatnich 20 lat nieco spadły, a najwyższymi, głównie CEO, wyższych funkcjonariuszy firm i banków, wzrosły z ok. 40 do 200 razy. Na najbogatszych Amerykanów, 1 procent ludności kraju, przypada 48 procent jego pieniężnych dochodów, które ponadto wzrastają, a najbiedniejszej części ludności spadają, o 1/5 w ciągu ostatnich 20 lat.

Przykładów takich można by mnożyć bez liku. Międzynarodowa spekulacja finansowo-walutowa, wymknęła się spod jakiegokolwiek kontroli. Obroty na giełdach pieniężnych w ciągu 4-ch dni równają się rocznemu eksportowi świata! Na różnicach kursowych, w „dobre” dni, spekulanci zarabiają miliardy dolarów dziennie, a w „złe”, z opresji ratują ich ... podatnicy! To spekulanci głównie powodują krach wielu walut narodowych, jak to dramatycznie ujawniło się latem 1997 r. w Azji Południowo-Wschodniej.

Rezultatem działalności tej „niewidzialnej ręki”, sterowanej przez „widzialną głowę”, jest rosnąca **niepewność** w kształtowaniu się koniunktury światowej, czego następstwem może być wybuch globalnego i długotrwałego kryzysu. Obawy są tym większe, że niektóre „lokomotywy” rozwoju gospodarki światowej, jak Japonia, od niemal 9-ciu lat walczy z kryzysem i bez większego skutku.

Po załamaniu się „realnego komunizmu” w wielu krajach świata, kapitalizm wreszcie odetchnął i ruszył do kontrnatarcia. Całymi dziesiątkami lat, trzymany przez państwo na uwieży, z obawy przed postępem komunizmu, w przypadku nowego kryzysu, wywołanego jego niekontrolowaną działalnością, teraz został puszczony luzem. „Przegnać państwo z gospodarki!”, „dać prywatnemu kapitałowi pełną swobodę działania!” -

wzniósł się okrzyk bojowy ruszającego do boju kapitalizmu. Walcząc ze zdobycami socjalnymi, z pełnym zatrudnieniem, z opodatkowaniem kapitału, zabrał się do wydłużania dnia pracy, prywatyzacji sektora publicznego, redukcji zatrudnienia w lepiej płatnych przedsiębiorstwach oraz transferu swojej produkcji do krajów o niskich płacach, itd., itp.

Efekt zaś tego jest taki, że absolutne zubożenie, jako cecha towarzysząca rozwojowi kapitalizmu, zgodnie z przepowiednią Marksa, całymi dziesiątkami lat zaprzeczana przez rzeczywistość - zaczyna się **sprawdzać** i to w szybkim tempie! Niczego podobnego, co gorsza, nie oczekiwano, a przeciwnie - przepowiadano „nową erę”, wzrost powszechnego dobrobytu i „koniec historii”, po tym jak komunizm przegrał z kapitalizmem.

Niestety, hurra-optymizm zaczyna ustępować pesymizmowi. W kierownictwie Międzynarodowego Funduszu Walutowego, dotąd promotora pełnej swobody dla kapitału prywatnego, podnoszą się ostatnio głosy o ... odwrócenie kapitalizmu! Największy żydowsko-węgiersko-amerykański spekulant walutowo-finansowy w świecie, George Soros, mówi i pisze, że tak dalej być nie może i że coś trzeba zrobić z niekontrolowaną działalnością ... kapitału prywatnego! Malezja, do niedawna entuzjasta wolnego rynku, zaczyna go odrzucać.

Jeśli tak, to **czego** oczekiwać? „Realny komunizm” w ZSRR i wielu innych krajach skompromitował się, kompromituje się teraz kapitalizm, a więc co dalej? Od 1992 r., kiedy w Rosji zaczęto „urynkowiać” gospodarkę, niska już przedtem produkcja rolna, zamiast wzrosnąć, raptem **spadła** o 30 procent! Gdyby nie import żywności, na który ostatnio nie ma zresztą pieniędzy, to w kraju panowałby masowy głód.

A w ogóle, to żywności w świecie zaczyna brakować. Od 1984 r. przyrost jej produkcji jest o połowę **niższy** od przyrostu naturalnego, a po 2010 r., według ekspertów, już **żadnego** jej przyrostu nie będzie.

Czy w świecie rosnącej nędzy i przy bajecznym bogaceniu się nielicznych, nie odżyje znów moda na **likwidację** własności prywatnej? Jej nowi przeciwnicy nie muszą przecież wiedzieć, że Manifest Komunistyczny już przed 150-ciu laty wzywał do tego. Populizm, „ludowy komunizm”, ostatnio największy przeciwnik wielkiej własności prywatnej, wcale **nie potrzebuje** szukać natchnienia w „naukowym komunizmie”, a nawet w „realnym”, chińskiego, ostatnio dość atrakcyjnego, nie wyłączając „Manifestu” autorstwa „sus-comandante Marcosa”, wodza EZLN, „Armii Zapatysty” z prowincji Chiapas w Meksyku, opublikowany latem 1997 r., słowem **nie wspomina** o Marksie czy Leninie, komunizmie czy socjalizmie, mimo że autor wykazuje duży stopień erudycji. Wspomina nato-

miast Che Guevarę, argentyńskiego i kubańskiego komunistę, który w 1966 r. poszedł do Boliwii wzniecać „castrowsko-partyzancką rewolucję” i zginął.

Komunizm, nie zapominajmy, „naprodukował” masę różnych idei, osobników i doświadczeń, które nie wiadomo komu i gdzie kiedyś się przydadzą. W czasie „czerwono-białej” wojny domowej w Rosji, zdarzało się przecież żołnierzom-analfabetom w Czerwonej Armii wznosić okrzyki „precz z komunistami - niech żyją bolszewicy!”. Nie ważne co krzyczeli, a ważne kogo bili ...

Konfrontacja komunizm-kapitalizm **nie dobiegła** jeszcze końca.

Komunizm, ten „oficjalny”, jak w Chinach i kilku innych krajach, czy ten „nieoficjalny”, jak w Rosji, która jest w stanie puścić cały świat z dymem, jeszcze **nie powiedział** ostatniego słowa. Przyczaił się i czeka, co pokaże kapitalizm. Skoczyć mu do gardła zdąży, gdy uzna to za stosowne, a w każdym razie **ma** czym ...

Stąd **nie wiadomo** jeszcze dla kogo trwająca ciągle konfrontacja będzie jeszcze zwycięska.

Historia lubi płać niespodzianki.

Refleksje końcowe

Starając się osądzić komunizm nie miałem łatwego zadania, biorąc pod uwagę fakt, że tam, gdzie „realny komunizm” już zniknął, jest on często ... dobrze wspomniany. „Realny komunizm” w Chinach zaś - triumfuje w ostatnich latach.

Współczesny komunizm wreszcie trzeba widzieć na tle szerszym - kapitalizmu i demokracji, które nie są bynajmniej wolne od poważnych trudności.

Jeśli jeszcze komunizm zamieni się w „demokratyczny socjalizm” czy „ideę socjalistyczną”, a kapitalizm bezmyślnie będzie hołdował „niewidzialnej ręce”, podczas gdy demokracja, czyli rządy większości, stanie się rządami mniejszości, lub co gorsza wąskiej oligarchii, którą przepowiedział austriacko-amerykański ekonomista Joseph Schumpeter, to wynik konfrontacji komunizm-kapitalizm jest tym bardziej problematyczny.

A więc - koniec czy dopiero początek komunizmu?

Nie początek, gdyż „widmo komunizmu” towarzyszy ludzkości od zarania jej dziejów.

Nie koniec, gdyż komunizm, otwarcie lub nie, jeszcze istnieje.

Rzecz tylko w tym, żeby nie sięgał do siły. W dobie broni maso-

wej zagłady, nie tak jak w przeszłości, ludzkość **nie może** sobie pozwolić na rozwiązywanie swoich sporów drogą zbrojnej konfrontacji.

Tym bardziej, że stoi w obliczu tylu wyzwań, że i bez takiej konfrontacji jej egzystencja stoi pod znakiem zapytania.

SPIS TREŚCI

U szczytu potęgi	9
Narodziny komunizmu	34
Niezwykły tandem	63
Marksizm i jego część składowa - komunizm naukowy	87
Utopia rzeczywistością	111
Stalinizm - anomalia czy prawdziwy komunizm?	143
Revolucja socjalistyczna - na własnych nogach i na bagnetach (Akt I)	185
Revolucja na własnych nogach i bagnetach (Akt II)	224
Komunizm demokratycznym socjalizmem?	254
Polski „realny komunizm” - wyrok Historii	294
Koniec czy dopiero początek komunizmu?	332